№ 2. Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1874 r. Rok IX.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kanterach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartal. rsr. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W. W. Ks. Poznańskiem: u M. Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1. sgr. 20.

KOBIETA JAKO TOWARZYSZKA MĘŻCZYZNY.

Pod tym tytułem ukazała się w prasie angielskiej broszura, zajmująca przez wzgląd dwojaki: pierwszym jest ważność przedmiotu, który obrabia; drugim szlachetne i w poglądach swych podniosłe rzeczy traktowanie. Autorem jest Amerykanin, Juniusz Henryk Browne, który przedstawia się jednak w europejski, klasyczny sposób, bo wstępem do utworu swego czyni cytatę ze starożytnego filozofa, Plotinusa. Grek, w traktacie swym: *Jedność dobra,* powiada, że obcowanie ducha męzkiego z duchem kobiecym jest tych duchów komunią, która je uświęca i na gwiazdy przenosi; Amerykanin dodaje, że przedewszystkiem, „ziemskie, podsłoneczne życie ludzkości wyższym torem wiedzie i we wszystkich jego stosunkach podnioślejszem je czyni.“

Stosunkiem, który z natury rzeczy najpierw przedstawić się tu musiał, jest miłość i najdoskonalszy jej wynik: małżeństwo. Miłość to ta tajemnicza sympatya, która ludzi do siebie pociąga przez niedające się w podstawach swoich wytłumaczyć uczucie; to tęsknota nieprzeparta, wiecznie przytomności wzajemnej pragnąca, z której się rodzi słodka przebywania z sobą potrzeba. Potrzeba ta nie znika i nie uchodzi z czasem, gdy miłość jest rozkochaniem się w sobie dwóch duchów zarówno pięknych i podniesionych, to też starożytny myśliciel znał prawdę uczucia, prawdę serca ludzkiego, gdy miłość, w trwaniu swem stałą, uświęceniem duchów nazwał, i sfery ideału, sfery poezyi na zamieszkanie jej przeznaczył. Nowożytny przedmiotu badacz ma te same rzeczy pojęcie, które tylko mniej mistycznym językiem tłumaczy; i on tak samo szlachetnej miłości moc uświęcającą przyznaje, i on tak samo zna jej władzę nad duchami, dla których zaskarbić ją pragnie, i dlatego broszurę swą pisze, aby w praktyczny sposób proces tego rozwoju uczucia i drogi prowadzące do niego pokazać. Aby miłość, jakiej dla ludzkości żąda, mogła nam w piersi zstępować, aby nie była jedynie upodobaniem powierzchownem, którego nie podpiera uczucie natury wyższej, żąda najpierw dla społeczeństwa tych ułatwionych przez obyczaje warunków obcowania z sobą kobiety i mężczyzny, przez które pierwszy pociąg miłości: sympatya „owoc wydaje i gruntuje się w uczucie stałe.“ Gdzie społeczeństwo nie zapewni sobie takiego towarzyskiego stosunku kobiety i mężczyzny, gdzie obyczaje sfałszują naturalny rozwój stosunków ludzkich, tam nigdy podnioślejsza miłość nie może w sercach zapałać, bo owa wymiana uczuć i myśli, która od wieków, jak widzimy, jest uznawaną komunią duchów, miejsca dla siebie znaleść nie może, i wtedy związek dwojga ludzi do ołtarza z sobą idących, aby się związać nierozerwalną ślubu przysięgą, jest ślepem spuszczaniem się na los szczęścia, które jakże często zawodzi tam nawet, gdzie istniał przemijający poryw uczucia niewypróbowanego, które Słowacki tak scharakteryzował obrazowo: „Pokochały się w niej moje oczy!“ Trzeba, aby tak jak u poety „za zmysłem co kochać przymusza,“ poszła—miłością dla drugiej duszy ogarnięta — dusza, a kobieta staje się wtedy dopiero wybraną towarzyszką życia mężczyzny, który taką niezmienioną nigdy potrzebą przebywania z ukochaną do domowego ogniska przywiązanym zostaje, że dla żadnych ponęt innych, nigdy ztamtąd nie zbiegnie, aby ją zostawiał samotną i opuszczoną. Kobieta—pisze autor amerykański—jest moralnem dopełnieniem mężczyzny; więc związek tych dwojga powinien być zjednoczeniem, zasadniczą też małżeństwa podstawą, jego istotą i treścią jest towarzyszenie sobie życiowe. Gdzie tego nie ma, nie ma małżeństwa w jego wyższem, uświęcającem znaczeniu: jest współka interesów, ugoda dla celów rozmaitych zawartych, ale nie małżeństwo. Wierność idealnej strony małżeństwa na tym stosunku duchowem się zasadza, który musiał istnić w dawnem społeczeństwie naszem, musiał nie być bynajmniej rzadkim, gdy wyrobił sobie w języku określające go wyrażenie: towarzysz dozgonny!.... dozgonna towarzyszka... jak staropolskie stadła przy wszystkich uroczystych aktach testamentów, zapisów, umów przedślubnych mianowały się wzajemnie.

Amerykański autor zapisuje kilka stronnic dowodząc, jak mąż żonie takim towarzyszem, żona mężowi taką towarzyszką być powinna. Styl jego obrazowy i gorący, szuka sobie poetycznych porównań w starym świecie Grecyi, lecz za to surowo ostrym jest dla związku zawartego w innych warunkach. Dzień w którym mąż poczuje że żona towarzyszką życia jego być nie może, jest pierwszym dniem moralnego rozwodu. „Praktyczne obowiązki życia pochłaniają mężczyznę, domowe powinności, trawią kobietę. Ich myśli, ich działania, ich sfery są różne, zbliżają się do siebie tylko za pośrednictwem interesów materyalnych. Po za tą granicą istnienia ich nie schodzą się nigdy, i życia ich płyną strumieniem oddzielnym. Już niepodobną jest dla nich rzeczą zbiedz się razem na jakimśkolwiek gruncie wspólnym, na którym ich *ja* wewnętrzne spotkaćby się mogły. A choć pewne punkta styczne istnieją, niskie są i poziome, za niskie i za poziome dla obojga na prawdziwe zadowolenie serca, czy przecież nie oni sami umieścili je w nizinie takiej? Jedno może stać, czekać i tęsknić, ale drugie, choć niby bliskie, jest daleko i nie przychodzi, przyjść nie chce, nie słyszy bolesnych uderzeń serca w piersi tamtej. Jego praca i myśl posępna nuży i ociężałym czyni, ją naciska ustawiczna troska zajęć mizernych i przygniata ją ten ciężar lichy. Dla niego dom jest poprostu dachem, pod który się chroni na nocleg; dla niej jest to pole skwarne mozolnego żniwa, którego nigdy dożąć nie może. Dnie i noce toczą się kołem jednostajnej pracy czy nudy, zadowolenie wewnętrzne nie mieszka z niemi, a wszelki polot podnioślejszy pada o ziemię zwichnięty.“

„Są to wspólnicy jednej firmy, ale bynajmniej nie małżonkowie: mają ognisko, ale to nie ołtarz domowy, mają uchronę ale nie przybytek, świątynia stoi, ale Bogów Larów tam nie ma. Jest związek, ale bez zgodności; jest połączenie, ale bez zjednoczenia: wyznają wiarę miłości i dokonywają jej obrządków, ale duch tej religii—religii serca—moc uświęcająca, nie

zstąpiła na nich nigdy! nigdy nie doszli do sakramentu!"

Związek uczucia łączący istoty ludzkie w sposób prawdziwie ludzki, jest tem wszystkiem, czego tamtemu stadłu zabrakło: podwyższa, ubogaca, zdobi życie „daje mu kolor i ciepło, daje rytm i rym twardej prozie powszedniego bytu."

Więc Grek nie omylił się powiadając w mistycznym swym stylu, że na gwiazdy przenosi, bo wznosi nad nędzę codziennych małości ziemi — „nad braki i ubóstwa"" jak formułuje pisarz amerykański: „Dla wszystkiego co stanowi zewnętrzną stronę życia, jest to potęga przetwarzająca, cudowne źródła złudzeń uroczych, sztuka czarowna, która zmienia pozór rzeczy, odbijając w ich powierzchni własną naszą głębię."

Ale na wytworzenie takiego stanu, na możliwość takiej miłości, muszą zapracować lata życia poprzednie; kobieta i mężczyzna potrzebują być bliższemi sobie niż ogółem biorąc są dzisiaj, powinni lepiej się znać, pojmować i rozumieć wzajemnie. Najpierw potrzeba na to, aby kobieta podniosła się umysłem do umysłu mężczyzny, mogła wejść w sferę myśli w której on przebywa, ogarniać wzrokiem ducha taki sam rozległy horyzont, który on ma przed sobą, stać na takiej samej podniosłości duchowej, aby ich poglądy z jednakowego punktu widzenia brane, zgodnemi być mogły. Już niejednokrotnie powiedziano to kobiecie; już niejednokrotnie wołano na małżonkę, że to tylko może ją uczynić życiową towarzyszką męża, i Juliusz Simon, który może najwięcej, a razem w najszlachetniejszy, w najwytrawniejszy sposób ze wszystkich pisarzy współczesnych zajmował się kobietą i rodziną, wypowiedział jej obszernie tę samą radę w pięknej swej pracy: „La Liberté du foyer." Aby mąż pozostał zawsze wiernym miłości swojej, aby uczynił żonę prawdziwą życia towarzyszką, aby nie szukał zdala od niej tak szlachetnych rozkoszy, biesiad ducha, jak nędznych przyjemności poniżającego używania, potrzeba mu w żonie znaleść najpierw coś więcej jak ładną lalkę dla miłości jego oczu, bo po latach kilku oczy się opatrzą tej urody, uciekającej wreszcie z latami, gdy lalek świeżej piękności będzie zawsze dość do koła; — powtórę, coś więcej jak prostą gospodynię jego domu, i materyalną matkę jego rodziny, bo wtedy musi ją uważać za istotę niższą od siebie, do niższych też jedynie funkcyj życia przeznaczoną, i równych mu praw moralnych używać niemogącą. Powtórzył to kilkakrotnie w innych dziełach swoich, dowodził, że cała moralność obyczajów opiera się na intelektualnem duchowem podniesieniu kobiety, któreby było z kolei podniesieniem żony i matki rodziny. Wielu powiedziało za nim zupełnie toż samo, i teraz właśnie można sobie wyciągnąć morał podobny z artykułu umieszczonego w ostatnim zeszłorocznym numerze *Revue des deux mondes*: „Kobiety w Rzymie." W świecie pogańskim Grek rozdzielił miłość swoją na dwie połowy, z których niemal niższa dostawała się żonie; Rzymianin uszanował wyżej małżonkę swoją, bo kobieta rzymska podnosiła się zarówno z mężczyzną, i żona Rzymianina nie stanowiła najniższej nuty w harmonii życiowej narodu swojego. Otóż i pisarz amerykański jeszcze powtarza to samo, ale zarazem nie pomija milczeniem drugiej strony przedmiotu: daje napomnienie mężczyznie.

Kobieta powinna żyć więcej umysłem, ale mężczyzna powinien żyć więcej sercem; powinien uczynić się idealniejszym w uczuciach swoich, powinien wiele w powszedniem swem życiu zmienić, przetworzyć wiele stron jego ciemnych na jaśniejsze. Wtedy dopiero on ze swej strony przygotuje się na prawdziwego towarzysza życia kobiety, uszanuje i zrozumie wiele jej delikatności serdecznych i nie rażąc ich, zdoła podnieść kobietę wyżej przez tę pomoc ducha męzkiego, którą jej dać może jedynie w skutek ciągłejszego znią przebywania, obcowania z nią bliższego i poufalszego, któreby się na większej zażyłości wzajemnej oparło. Tę zażyłość, stalszą ciągłość przebywania mężczyzny obok kobiety, stosunek bliższy dwojga istot dla siebie przez Boga stworzonych, uważa pisarz amerykański za podstawę dobrego rozwoju ludzkości—za najpierwszą podstawę moralności społecznej i rodzinnej, a ja zgadzam się z nim całkowicie na założenie. Zgadzam się na to, że umysł męzki potrzebuje oddziaływać na umysł kobiety, a jej serce na jego serce, że powinna być nigdy nie zaniedbana wymiana myśli i uczuć wzajemnych, komunia duchowa jaka dziś ma miejsce między wybranemi tylko osobistościami. Zgadzam się na to, że mężczyzna i kobieta dopełniają się wzajem, co autor wyraża przez zdanie, że „kobieta jest dopełnieniem mężczyzny, a w ich związku — który, gdy w prawdzie swej pojęty, znaczy towarzyszenie sobie—spoczywa jedność (women is the compliment of mann, und in their union, which rightly understood means companionship, unity consists). Zatem bliższy związek tych dwojga przez wyższe, szlachetniejsze strony ich istoty, musi być tylko korzystnym dla ogólnego postępu ludzkości, i nikt zapewne zaprzeczyć temu nie może, ale większość środków, których autor amerykański pragnie dla osiągnięcia celu swego, wymaga jeszcze głębokiego namysłu i niejednostronnego roztrząśnięcia. Namyślać się, nie jest to hamować postęp; ważyć każdy krok nowy na drodze pochodu ludzkości, jest to miłośnie o tę ludzkość się troskać, i w pragnieniu dobra tylko już po to dobro czyste i pewne rękę wyciągać i nic na oślep nie puszczać, nikogo na zawody, błędy, upadki lekkomyślnych prób nie narażać.

(Dokończenie nastąpi).

ZGASŁY PROMIEŃ.

Widziałaś promień gwiazdy, gdy w jeziora łonie
Blady i czysty płonie.
Nad kryształowym śpiących wód obszarem
W barwach opalu lśni tajemnym czarem,
I w modrem przezroczu tonie.

Z wichrem nadchodzą chmur wędrownych cienie,
I jasne gwiazd promienie
Zaświecą chwilę na wzburzonej fali,
Łamią się, walczą i nikną w oddali,
Jak mgliste szczęścia wspomnienie.

Tak czar miłości naszej, w zapomnienia chmurze
Uniosły życia burze.
Nowe sny dziś wzruszają twoją pierś kobiecą
I gwiazdy światłem nieznanem mi świecą
Na twego nieba lazurze.

Tomasz Zawadyński.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

III.

Zguba odszukana.

Po obiedzie towawarzystwo rozbiło się na gruppy. Część jedna wyszła na pokład, druga została w salonie, pozostawiając stół jadalny służbie do uprzątania i lokując się przy stolikach bocznych, ustawionych przed poustawianemi wzdłuż ścian kanapami. Przy jednym ze stolików grano w szachy, przy drugim w trik-trak, przy innym ktoś z książką siedział, przy tym zaś, co stał przed oknem, dającem widok na prawy brzeg Dunaju, siedział Anglik w towarzystwie osób kilku i brał na fundusz spółziomka swego, młodego jakiegoś lorda, dziedzicznego członka izby panów, który po skończeniu uniwersytetu w Cambridge, w King's College, wybrał się w podróż w celu nauczenia się geografji, o której wyobrażenia nie miał, pomimo że przyznano mu zdolności świetne. Anglik od pierwszych słów paru, zamienionych z urodzonym mężem stanu, poznał słabą jego stronę i w tę kową uderzył, bez względu najmniejszego na to, że młody lord był to spółziomek jego, piastujący godność naturalnego przedstawiciela Anglii. Jego to nie obchodziło. Bawił siebie i drugich niedorzecznościami, wygadywanemi przez dostojnego elewa uniwersytetu Cambridge, którego do Egiptu nęciły szczególnie piramidy i krokodyle.

— Piramidy! ach, piramidy!...—westchnął Anglik.

— Dla czegóż pan wzdychasz?... — odezwał się lord.

— Wzdycham nad obojętnością dla sławy, jaka panuje w połączonych królestwach Wielkiej Brytanji, i Irlandji... Piramidy w Egipcie...

— W Egipcie...—powtórzył lord.

— Czemu nie w Anglji?...

Zapytanie te zafrapowało młodego człowieka.

— Francuzi przenieśli sobie obelisk do Paryża, a Anglicy nie przenoszą piramid do Londynu.... A jakby to było wspaniałe!... piramidy w Londynie!...

— Byłoby to wspaniałe, tylko...— wtrącił młody lord.

— Tylko co?...

— Jakby to się zrobić dało?...

— Prosto i naturalnie... Za pomocą mocji w Parlamencie... Gdybym był członkiem dziedzicznym i dożywotnim izby panów, to sprowadziłbym do Anglii nie tylko piramidy, ale i krokodyle...

— Cóż za korzyść z krokodylów!...—zawołał młody lord z niedowierzaniem. Krokodyle ludzi przecież pożerają...

— He-hm!...— odparł Anglik. Przypuśćmy, iżby krokodyl lorda którego pożarł... cóżby to za głębokie były wrażenie!...

— Nie przeczę, co się wrażenia tyczy...—dyskutował młodzieniec. Ale mi o korzyść chodzi...

— Korzyść w samem wrażeniu... Cóż? czy mała?... Wyobraźmy sobie jeno, naprzykład: pożera krokodyl lorda Palmerstona... co?...

Przypuszczenie to podobało się ogromnie młodemu mężowi stanu, który zapewnie należał do stronnictwa lorda Derby. Uznał korzyść, jakaby wyniknąć mogła ze sprowadzenia krokodylów do Anglii, nie wiedział jednak, jakby to się samo sprowadzenie wykonać dało: w klatkach wielkich? w skrzyniach? w beczkach?...

— Za pomocą połączenia kanałem Nilu z Tamisą...—podsunął Anglik od niechcenia—Byle tylko na kanale szluz dużo nie było, to krokodyle same przejdą z rzeki jednej do drugiej...

Żart był za gruby, młodzieniec jednak nie poznał się na nim i Anglik prawił dalej:

— I z połączenia tego wynikłaby korzyść jeszcze jedna...

— Jaka?...—zapytał lord.

— Wprowadzenie Anglji z Egiptem w bezpośrednie handlowe stosunki...

— A...— lord na to i spojrzał do koła z uśmiechem, biorąc w ten sposób udział w śmiechu ogólnym, jaki jego „a" wywołało.

W chwili tej de salonu wszedł dyplomata, i poszukawszy oczami miejsca swobodnego, usiadł, ale pierwej zbliżył się do stolika, przy którym Anglik z lordem rozmawiał, przeprosił grzecznie towarzystwo, wytłómaczył takowemu w krótkich wyrazach, że mu przeciągi szkodzą i okno zamknął. Jak tylko usiadł, Anglik okno otworzył, prowadząc dalej rzecz o korzyściach handlowych z bezpośredniego połączenia Anglii z Egiptem. Dyplomata chrząknął groźnie. Widocznie miał zamiar niezłomny postawić na swojem, po chwili bowiem wstał i zwracając się tym razem do Anglika, przemówił do niego dobitnie:

— Panie, przeciągi mi szkodzą!....

I znów okno zamknął.

Zaledwie jednak usiadł, Anglik je na nowo otworzył.

Dyplomata, jak widać, był to człowiek, ceniący wysoko honor. Postępowanie Anglika wydało mu się snadź rewoltującem. Zerwał się, poszedł do stolika i zawołał:

— Panie!... ja... wymagam poszanowania dla zdrowia mego!...

Anglik mu z grzecznym uśmiechem głowy skinął.

Dyplomata okno zamknął.

Anglik je otworzył.

— Co to, to już zawiele!— były słowa dyplomaty, wymówione tym półgłosem, co to się każdemu do słuchu dostaje.

Burcząc i sapiąc, mąż stanu wyszedł z salonu; po chwili jednak powrócił, w towarzystwie kapitana, który z grzecznością jaknajwiększą, głosem jaknajsłodszym, odwołując się do przepisów regulaminu, przedstawił Anglikowi potrzebę zamykania okna i zamknął takowe. Anglik z miną uprzejmą wysłuchał przedstawienia kapitana i, podczas kiedy ten przemawiał, rękę sobie w serwetę zawijał. Kapitan skończył i tejże chwili ręka Anglika, serwetą obwinięta, odskoczyła nagle od stołu—buch!—w okno,—szyba się na drobne rozpadła kawaleczki.

— Teraz proszę zamknąć, *s'il vous plait*...

Wyrazy te, poparte giestem odpowiednim, wymówił tonem ugrzecznionym. Kapitan ramionami ścisnął i odszedł. Dyplomata odszedł także, sapiąc i pod nosem burcząc. Co się zaś Anglika tyczy, ten jakby nic nie zaszło prowadził dalej rozmowę, względem której zajście z dyplomatą było niczem innémjeno urozmaiceniem. Opowiadał właśnie młodemu lordowi o żuczkach, zwanych bombardyerami. Oryginalne stworzeńko... mówił—napadnięte a gdy widzi, że od napastnika ucieczką uratować się nie może, staje, wypuszcza z siebie dym niby strzał i ucieka dalej...

— Na cóż ono to robi?..— zapytał lord.

— Na to, że nie życzyłoby sobie zostać pożartém....

To samo i śród ludzi się zdarza...

— Śród ludzi?...—odezwał się młody człowiek tonem zdziwienia, biorąc snadź wyrazy spółziomka swego w znaczeniu literalnem.

— Ph—odparł tenże, ramionami ruszając. Ludzie robią to nie w taki zupełnie sposób jak żuczki bombardyery, robią jednak to samo...

— Nie słyszałem, przyznam się o niczem podobnem...

— Nie słyszałeś, *your lordship* o narodzie pewnym zwanym Irlandczycy?...

— Słyszałem....

— Albo o innym zwanym Bulgary?

— Sły—szałem...

— Ten drugi graniczy z pierwszym....

— Wiem o tém...

— Tego jednak geografia nie powiada; nie wprowadza ich ona w styczność bezpośrednią, przynajmniej nie doszło to do wiadomości mojej, a to dlatego zapewne żenie odbywałem edukacji w uniwerstytecie Cambridge... Jak też kwestyę tę uniwersytet rozstrzyga?

— Uniwersytet... hm...—odparł młody lord poprawiając sobie kołnierzyki—rozstrzyga tę kwestyę tak, ażeby krzywdy niebyło ani tej stronie ani owej.

— Pomimo to krzywdzona jest i ta i owa.

— A toż jak?..

— Jedna i druga znajduje się w położeniu żuczka bombardyera, ściganego przez chcącego go pożreć napastnika. Położenie to w sąsiedztwo je wprowadza, a przytem to sprawia, że czując się przez napastnika ściganemi, strzelają, póki nabojów starczy.

— A gdy zabraknie?..—zająknął lord.

— Wówczas uciekają.... Potem znów strzelają i znów uciekają.:. I tak bez końca... Odbywa się gonitwa nieustająca...

— Która jednakże koniec mieć musi, gdy napastnik doścignie i pożre...—wtrącił lord.

— Dla żuczka, tak, ale dla narodu niekoniecznie... —odparł Anglik tonem seryo. Dziwne jednakże zachodzi podobieństwo pomiedzy żuczkiem bombardyerem a narodem...

Ostatnie te wyrazy zwrócił do siedzącej nieopodal pary zagadkowej, o której w poprzednim wspomnieliśmy rozdziale.

— Nieprawdaż?

— Zaprawdę...—odrzekła dama.

— Nie chcecie państwo wyjść na pokład, odetchnąć swieżém powietrzem, chociaż bowiem wybiłem okno dla dogodzenia temu panu excellentissime, jednakże czuć się daje w salonie duszność niejaka... jak w menażeryi.

— Pan bo złośliwość posuwasz do granic ostatecznych i po za granice...—rzekła dama, wsuwając dłoń swoją pod ramię, które jej Anglik podał.

— Tak pani uważa?..

Czy tak nie jest?

— I nie widzi pani granic pewnych, od których złośliwość moja cofa się z uszanowaniem?

Dama zrobiła minę taką, jakby się zamyśliła.

— Czym ja się rzucił kiedy na nieszczęście niezasłużone, na rozum, na zasługę istotną?.. Znamy się nie od dziś przecie.

— Tak... to prawda... z tem wszystkiem..

— Z tém wszystkiem—podchwycił Anglik—niech że mi wolno będzie wylewać żółć w naczynia na to przeznaczone! Ten pasza, ten dyplomata, ten lord młody... cóż to za egzemplarze pyszne! Próbka wysokiego dostojnika tureckiego nie zawiodła oczekiwania mego.

Wyrazy ostatnie zwrócił do mężczyzny, co był damy towarzyszem.

A był to człowiek niepokaźny, mogący służyć za model skromności męzkiej pod względem powierzchowności; wzrostu nie wielkiego, nieco pochylony, ciemny szatyn z ciemno-szafirowemi oczami, wyglądający tak jakby,—jak to powiadają—trzech zliczyć nie umiał, lat około czterdziestu.

— A tak—odrzekł Anglikowi jest to postać typowa.

— Jaki wyraz dobrotliwości na obliczu!.. jaki uśmiech słodki w oczach!.. Tak ich sobie przedstawiłem według opowiadań twoich, doktorze.. Gdyby jednak zadał kto sobie pracę i wpatrzył się pilnie w fizyognomję dziejową, to nie przedstawił by sobie Turka pod postacią inną, jeno pod tą, pod którą się nam ekscelencya ta przedstawiła.. Czyż nie tak?..

Doktór—od Anglika bowiem dowiadujemy się, że nieznajomy jest doktorem—potwierdzającą dał odpowiedź.

Dzieje odbijają się na fizyognomiach człowieczych, i ja pewny jestem, że Turcy wszyscy, pod względem wyglądania, są modyfikacjami tego paszy... Inaczej być nie może... Człowieka urabiają stosunki śród których żyje i to tylko na uwagę brać trzeba, że jeden umie ukrywać czem jest, drugi zaś nie umie...

Zobaczycie państwo, jak młody lord, za lat dziesięć, będzie dobrze udawał głębokiego myśliciela.

Dama uśmiechnęła się na te słowa i zatrzymawszy się ukazała palcem przed siebie:

— Brzeg serbski - rzekła.

Doktór westchnął.

— Odgaduję powód westchnienia tego — odezwał się Anglik. Patrząc na Serbję, myślisz doktorze o Bulgaryi; porównywasz i porównanie westchnienie ci z piersi wydobywa.

— To nie trudno odgadnąć—odrzekł doktór.

— Ja też nie utrzymuję, ażeby trudno być miało...

Mąż pani—to mówiąc do damy się zwrócił—o próżność mnie posądza... Oskarżam go o to przed panią formalnie... i o ukaranie przykładne upraszam.

Żartobliwy ton oskarżenia zartobliwej wymagał odpowiedzi. Pani doktorowa pogroziła mężowi paluszkiem i poprosiła Anglika, żeby jej zostawił do namysłu czasu trochę.

— O pani!—zawołał tenże, przybierając minę powagi komicznej. Zostawiam pani do namysłu wieczność całą. Chodzi mi tylko o to, ażebym miał pewność, że przyjaciel mój i kolega z Heidelberga, doktór Emanuel Stanko, ukaranym zostanie za to, że się odważył o próżność mnie posądzić. Jest to ułomność, do której się nie poczuwam wcale.

Jak to wygodnie, ludzkie podsłuchiwać rozmowy!

Podsłuchaliśmy i oto podnosić się już powoli zaczyna zasłona, która okrywała parę zagadkową. Wiemy już jak się nazywa, jegomość wiemy czem jest i gdzie się uczył; wiemy nawet, iż nie może należeć do narodowości innej, jeno do bulgarskiej. To ostatnie miarkujemy z tego, że gdyby Bulgarem nie był, to nie nazywałby się Stanko, a i z tego także że Anglik odgadując powód westchnienia, nie byłby wspomniał o Bulgaryi. Bulgarem więc był doktór, jak Stojan i był doktorem, ale—czego?—prawa filozofji, czy medycyny? Zapytanie to pozostawmy tymczasowie w zawieszeniu, a natomiast postarajmy sie dowiedzieć czegoś o małżonce doktora. Czy ona także Bulgarką była? Zdaje się. Kobiety bulgarskie ładne są w ogólności. Owóż ona, pod względem tym, wyjątku by nie czyniła, uchodzić bowiem mogłaby za piękność w gronie najpiękniejszych nawet. Uderzającem w niej było znamie malutkie, nad prawą brwią z boku, które jej niejako akcent nadawało i to sprawiało, że popatrzywszy się na nią raz, chciało się spojrzeć jeszcze i po raz drugi. Znamię to jednak, samo przez się, ciekawości by tej nie wzbudzało, gdyby nie w łuk regularny wygięta ciemna brew, zarysowująca się wdzięcznie po nad zarysowanemi kształtnie szafirowemi oczami, oświecającemi oblicze, któremu ani pod względem rysów, ani pod względem wyrazu nie było do zarzucenia nic, z wyjątkiem tego chyba tylko jednego, iż nie odznaczało się ono tą delikatnością, jaka cechuje piękności wypieszczone.

Widocznie natura sama rządziła jej wdziękami, znadującemi się w pełni rozkwitu, doktorowa bowiem nie wydawała sobą lat więcej nad dwadzieścia pięć skończonych. Wziąwszy ją z doktorem razem, nie możnaby ich nazwać parą dobraną. Nie harmonizowali ze sobą pod względem fizycznym. Ona, niewiasta pokaźna, wydawała się silniejszą od doktora, szczupłego i nikłego, co sprawiało efekt nie koniecznie miły. Obok pięknej kobiety wygląda dobrze mąż, jeżeli nie również piękny, to przynajmniej na urząd zbudowany. Doktor nie zalecał się ani wdziękami, ani budową i przyczyniał się jeno do uwydatniania wdzięków i budowy pani swojej, ktora, w odniesieniu do niego, stanowiła kontrast zupełny.

Bierzemy doktorstwo z tej strony. z której się oni wziąść dają; opisujemy powierzchowność ich, nie mając jeszcze możności przystąpić do nich ze strony innej, moralnej. Nie nasza to wina. Cóż? Spotykamy się z niemi na statku, w sposób przypadkowy prawie i niewiemy nic ani o ich przeszłości, ani o zamiarach na przyszłość. Co do tych ostatnich jednak, pewnem jest tylko, że jakiemkolwiek byłyby one nadal, to przyszłość najbliższa prowadzi je w tym kierunku, w którym parowiec płynie. Płyną na wschód mijając wybrzeża węgierskie na lewo i wybrzeża serbskie na prawo. Te ostatnie zajmują ich bardziej, aniżeli tamte. Doktorowa mianowicie oczów nie odrywa od widoków, zmieniających się w miarę jak się statek posuwa. Coś ją do wybrzeży tych jakby przykuwało.

— Co tam pani widzi ciekawego?.. — zapytał jej Anglik.

— Siedziba bratniego narodu, który nas z wiekowego obudził letargu.

— Hm...—mrukął Anglik tonem znamienującym że odpowiedź ta nie trafiła do przekonania jego.

— Czy pana to dziwi, zapytała dama.

— Nie znajduję powodu racyonalnym... Siedziba sama jest rzeczą obojętną, chyba się przedstawia pod osobliwszą jakąś postacią, naprzykład: pod postacią pięknej natury, jak Szwajcarya, lub też pod postacią swiadectwa potęgi umysłu ludzkiego, jak kraje przodujące na drodze cywilizacji, przemysłu i handlu.

— Zapewne; jeśli się jest zupełnie obcym..

Dla mnie kraj ten ma urok, dla tego po prostu, że to kraj serbski a ja Bulgarka.

Mamy tedy wyznanie z własnych doktorowej ust

— Zapatruję się więc na Serbję—ciągnęła dalej—jakbym się zapatrywała na własność braci moich, przypadłą im ze spadku spólnego... czuję dla niej cześć, jak dla ojcowizny i z uczucia tego sprawy przed sobą nie zdaję.

— Przed uczuciem wszelkiem cofam się z uszanowaniem...odrzekł Anglik, popierając słowa te giestem odpowiednim, to jest, cofając się przed doktorową.

Nagle jednak zawołał, z akcentem zapytania: A?..

Powodem wykrzyknika tego było ukazanie się na brzegu ruin zamczyska starego. Wystąpiły one niespodzianie, w całej malowniczości dzikiej tworząc obraz rzeczywiście piękny. Skaliste urwisko dźwigało na sobie mury poszczerbione, odziane w bluszcz i powoje, przyozdobione tu i owdzie w bukiety drzew, poprzeplatane w wyłomach roślinnością fantastycznie się wijącą. Słońce znajdujące się na zachodniej nieba połowie rzucało na obraz ten blask, pokazujący go w oświetleniu, które piękność jego podnosiło,

Anglik pozostał chwilę w zapatrzeniu.

— Nie przypomina to panu okolic nadreńskich?— zapytała Bulgarka.

— Zaprawdę, przypomina...

— I pan przeto znalazłeś w Serbji coś zajęcie wzbudzającego?

Anglik skinieniem odpowiedział na zapytanie to potwierdzająco.

— Gdybyś był Bulgarem to z nie mniejszem, jak na te zwaliska zajęciem, patrzałbyś na płaszczyzny i trzęsawiska, myśląc o narodzie dzielnym, co się na nich wyzwolił.

— Nie jestem na piękno obojętnym...— podchwycił Anglik. Przyznam się jednak pani, że mnie nadewszystko obchodzą ludzie. Piękno mnie zachwyca, lecz zachwyt ten przemija; ludzie zaś interesują mnie stale. Wolałbym przecież Serbów aniżeli Serbję.

— Jedno bez drugiego uskutecznić się nie da...— wtrąciła doktorowa.

— Niewiem o tem i nie gniewa mnie to bynajmniej, tem bardziej że kraj uważam jako warsztat, na którym naród pracuje i z tego względu, kraj nie jako

kraj, ale jako warsztat, przedstawi aprzedmiot do studyowania ciekawy. Ciekawą jest wielce rzeczą: jak się też ten i ów naród z warsztatem swoim obchodzi?

Doktorowa milczała przez chwilę. Po chwili zapytała:

— Czy pan już co pisał?

— Och pani!.. Pisałem i dużo, a najwięcej listów do przyjaciół. Spytaj pani męża

— Ja pytam nie o tym rodzaju pisania. Czy pan co pisał i drukował?..

— Na tej drodze nie próbowałem jeszcze talentów moich.

— Szkoda... —rzekła doktorowa półgłosem.

— Czemu?

— Bo byś pan nie jedną ludziom powiedzieć mógł prawdę.

Anglik się zaśmiał.

— Gdybyś — ciągnęła Bulgarka śmiechem tym nie zrażona — spisał wrażenia z podróży, jaką w ojczyznie mojej odbyć zamyślasz, to nie wątpię iżby i tam znalazła rzecz nie jedna, któraby się spółziomkom moim wielce przydała... Spełniłbyś pan w ten sposób dobry uczynek...

— Ależ ja bym wrażenia moje spisywał po angielsku!.. wtrącił Anglik.

— Przetłómaczylibyśmy je na język bulgarski...

Doktór odchrząknął i głos zabrał:

— Popieram wniosek żony mojej i popieram go z całą rzeczy świadomością, wysnutą z tych listów przyjacielskich, jakiemiś mnie obdarzał... Anglia w Williamie Wayton zyskałaby autora jednego więcej, Bulgarja zaś dostałaby od niego kilka przestróg, kilka rad, z którychby może użytek zrobiła... Gdybym był na miejscu Williama Wayton, człowieka niezależnego pod względem fortuny i bogatego pod względem pomysłów postrzegawczych, to nie wahałbym się pomysłów moich ludziom do rozważania oddawać...

Słowa te wtrąciły Anglika w chwilowe zamyślenie, z którego jednak wyszedł prędko, zwracając uwagę towarzyszy swoich na zamczysko. Zapytał o nazwę.

— To Gołubac...—rzekła pani.

— Warto mu się bliżej przypatrzeć... Trzeba by na przód okrętu przejść...

To rzekłszy, poszedł przodem, doktorostwo udali się za nim i troje znajomych naszych poszli gęsiego, przeciskając się bokiem mimo maszyny parowej, kajut officerskich, komina, spiżarń okrętowych, aż wydostali się na przestrzeń zajętą tłómokami i pasażerami klassy trzeciej. Nie było im tu swobodniej. Musieli wciąż przeciskać się, stąpając ostrożnie, ażeby czego nie wywrócić lub kogo nie nadeptać. Miejsca wolnego, na któremby trzy osoby pomieścić się mogły, nie było. Anglik zatrzymał się i zrekognoskowawszy położenie, zwrócił się, chcąc poradzić zaniechanie zamiaru, gdy w tem doktorowa krzyknęła:

— Mój list!..

Wyrazy te wymówione były po angielsku. Natychmiast jednak odezwała się po bulgarsku do człowieka siedzącego na zawiniątku i trzymającego ćwiartkę zapisaną.. papieru w ręku:

— To mój list... Ty chyba Stojan?.

Stojan — on to był bowiem — skoczył z miejsca, zatoczył się, nadeptał na palce bimbaszę, pochwycił doktorowę za rękę, objął ją za szyję i w usta ją całować począł, objawiając przytem radość swoją głośnemi wykrzyknikami. Doktorowa radość okazywała nie mniejszą, tylko wykrzykników nie wydawała.

— A!.. aha!.. oho!..—wywoływał Stojan co chwila i całował.

Puszczał niekiedy doktorową z objęć, ale na to, ażeby się na nią popatrzeć i znów szyję jej ramieniem otoczyć.

Podróżni trzeciej klassy przypatrywali się temu i uwagi różne czynili. Grono Serbów z Wojewodyny cmokało głośno za pocałunkiem każdym, wołając:

— Na zdrowie!..

Anglik się uśmiechał.

Stojan jednak nie uważał na nic, aż doktor zainterwenjował i ujmując Stojana za ręce obie, uwolnił żonę od natarczywości jego.

— Dosyć już!..—przemówił. I mnie przecież należy się powitanie twoje...

— Tobie?... — a tyż co?.. — zapytał Stojan zaperzony radością.

— Ja twój szwagier, Emanuel Stanko...

— A!.. Ależ bo ja nie widział jej lat dziesięć... Kiedym ją widział po raz ostatni, to była to jeszcze *muma*, a teraz... o!... jak urosła jaka się z niej piękna zrobiła *bułka*!..

I wpatrywał się w siostrę z rozpromienieniem w obliczu.

Jaka ty piękna, Marico!.. Nie dziw, żem cię nie poznał na dworku w Baziasz... No przecie!.. No, cóż to za szczęśliwe zdarzenie!.. Usiądź-że tu, koło mnie i porozmawiajmy...

Usiąść jednak nie było gdzie, chyba na zawiniątku Stojana, na którem ulokować się mogła osoba jedna. Propozycya ta przeto należała do rodzaju niewykonalnych.

—Chodź tyraczej z nami, na pokład klassy pierwszej... tam przestronniej... — odezwała się doktorowa.

— Ale tam mi wchodzić nie wolno...

— Wolno!..—podchwycił doktor. Otworzymy sobie wstęp florenami, usuwającemi trudności wszystkie... Chodź..

— A mojeż zawiniątko!..

— Weź i zawiniątko swoje... Oddaj mi tylko twój bilet, ja go zamienię na bilet klassy pierwszej i odbędziemy resztę podróży razem...

— Chodźmy... — odezwała się doktorowa, dając z siebie przykład odwrotu.

Udali się na pokład tylny; Anglik tylko pozostał, może dla przypatrywania się ruinom gołubackim, a może dla tego, ażeby przy wynurzaniu uczuć rodzinnych, nie odegrywać roli świadka zbytecznego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Czarne diabły, dramat w 5 aktach p. V. Sardou.

Ponure wieści rozchodziły się na kilka tygodni przed ukazaniem się sztuki o niewielkiej jej wartości, o wątpliwej doniosłości artystycznej i t. p.; wiadomo też było tym i owym, że dramat ten nie miał powodzenia w samym Paryżu, a zatem wśród obyczajów miejscowych na których się rzecz opiera. Z tem wszystkiem kiedy afisze ogłosiły nowość, teatr Rozmaitości zapełniony był od dołu do góry. Przyczyniła się zapewne do tłumnego zebrania ta okoliczność, że grali pp. Żółkowski, Ostrowski, Leszczyński i Modrzejewska, czyli że niepodobna, iżby tacy dobrzy artyści nie wykrzesali jakiejś iskry i z najniepokaźniejszego krzemienia. Tymczasem.... Czemże są te „Czarne diabły?...“ od czego taki tytuł? Odpowiemy wam krótko. Czarne diabły to owe złe namiętności u niektórych ludzi, które raz ich opętawszy, trzymają już nauwięzi na zawsze, ukazując się z całą siłą wtedy właśnie, gdy ludzie ci radziby wejść na drogę poprawy i zerwać zupełnie z przeszłością. Są one silniejsze od wysiłku (naturalnie miernego) woli, od najszlachetniejszych postanowień, od najświętszych przysiąg czynionych sobie i innym; są one jakby klątwą tajemną zaciągniętą w przeszłości a niedającą się zmazać radykalnie, niweczącą przeznaczenie człowieka niby nieubłagana Nemezis moralna. Co autor nazwał „czarnemi diabłami“ i przedstawił w formie wyjątkowej, szczególniej, właściwej dziwnie i wyłącznie uorganizowanym ludziom, to mówiąc po prostu, tyczyćby się mogło w mniejszym lub większym stosunku każdego z tych, którzy nie kroczą całkiem ślimaczo po tym padole, ale zostają pod wpływem takich lub owakich namiętności. Zrobienie przeto bohatera wyłącznym i nadzwyczajnym posiadaczem namiętności *najgorszego gatunku* w stopniu bajroniczno-demonicznym, liczy się jako *pierwszy* efekt melodramatyczny p. Sardou.

Teza bowiem sama psychologiczna a może fizyologiczna, jest dobrze pomyślaną i jeszcze lepiej nadającą się do utworu dramatycznego. Lecz te dodatki, zawikłania bulwarowe, ta obfitość zbyteczna najrozmaitszych figur, wplątanych w akcyę czasem dla powiedzenia jednego tylko dowcipu, to już zwykłe ujemne strony V. Sardou, a prowadzenie intrygi i rozwiązanie „Czarnych diabłów“, przekracza niefortunnie sferę talentu tego autora, talentu którego mu ostatecznie nikt zaprzeczyć nie chce.

Tak więc Gaston de Champlieu, młody piękny hulaka, utracyusz należący do tak zwanego klubu „pożerców“ (mangeurs de coeur)—przekład najzupełniej ciemny, wyraz: „rozbójnik salonowy“ daleko lepiej rzecz tłómaczy), mających w głównem swojem zadaniu cynizm wyuzdany, sceptycyzm, zwodzenie kobiet, słowem ślizganie się bezwstydne po powierzchni życia, ściga piękną kobietę, Joannę, wdowę przebywającą w wiejskiej swej posiadłości około Dieppe. Ściga ją zaś natarczywie, zuchwale, bezcześnie choć z pozorami galanteryi i rycerskości, które lubo mocno podejrzana, podoba się przecież pewnym kobietom, lubiącym tajemniczość i natarczywość. Energicznego jak się wnet dowiemy charakteru. Joanna, odpycha i nie odpycha natrętnego Don-Żuana, a że wicher straszliwy świszczy i burza na dworze wyje, i że pan Gaston niby ciągle się żegna a w rzeczywistości wynosić się ani myśli, więc po scenie dosyć drastycznej, dosyć u francuzkich pisarzy oklepanej, zostaje w gościnie na nocleg w domu p. Joanny, oddzielony od jej budoaru dyskretnemi tylko drzwiami.—

W drugim akcie, domyślamy się że p. Gaston należy już do poufałych gości gospodyni, p. Joanny, w domu jej w Paryżu. Wchodzi bowiem pijaniu teńki, żarty stroi z garderobianą, aż zmęczony rozwala się na kanapie pozbywając znowu swych „czarnych diabłów“, w rozmowie ze swym przyjacielem Rolandem, niegdyś naczelnikiem klubu „pożerców“, który również przybył do tego domu za swym ubocznym interesem. Już to w ogóle dom pani Joanny, liczy się do najgościnniejszych w Paryżu, bo prócz całej czeredy krewniaków, wchodzi tam kto chce i nie chce. Hulaszczy Gaston odprawiwszy garderobianę, tak samo igra swywolnie z wchodzącą panią Sarą, przyjaciółką Joanny, w chwili gdy wchodzi pani domu.

Zostają sami. Joanna, która obiecywała że się nie łatwo zakocha, a zakochawszy potrafi się w razie zdrady zemścić niezwyczajnie, zdaje się że teraz jest już w najwyższym paroxyzmie miłości, bo czyni gorzkie wyrzuty Gastonowi że go nadarmo dzień cały czekała; poczem następuje scena przeprosin i rozkaz zatrzymujący kochanka na obiad. Ale wtem melduje się jakiś jegomość. Jestto lichwiarz od którego Gaston pożyczył pijany 10,000 franków i któremu dał na to weksel, oznaczywszy mu po pijanemu dom Joanny jako swe mieszkanie. Lichwiarz nieubłagany, żąda natychmiastowej zapłaty, lub.... pójdzie do pani. Wściekły i zrozpaczony kochanek wstydząc się swego czynu, obiecuje mu przynieść za godzinę pieniądze lub zastaw.

Lecz zkąd go wziąść? Niema żadnego klejnotu. Do najokropniej pomieszanego wraca Joanna; Gaston po krótkiej ale ciężkiej walce ze sobą, kradnie jej guzik brylantowy od mankietu i ucieka ażeby oddać go w zastaw. Joanna zdziwiona zrazu nagłem odejściem, potem machinalnie zaczyna szukać brylantu, i... domyśla się całej szkaradnej prawdy.

Istotnie „Czarne diabły“ zaczęły figlować nie na żarty. Kochanek w gruncie niby szlachetny, wstydził się jak później zeznaje przed Joanną, poprosić ją o pożyczkę, więc wolał *ukraść*!

Czy ustopniowanie takie nurtujących zawsze złych namiętności, było potrzebne naturowi?—czy nie byłoby się obeszło bez tego splugawienia, skoro dalsza katastrofa opiera się nie na tem że kochanek ukradł, ale na tem, że się z błahego pozoru zdaje Joannie, iż on ją zdradza kochając Sarę? W trzeciej odsłonie, Joanna przystępuje do owego obiecanego aktu zemsty. Udając zrazu spokój, obarcza potem Gastona epitetami: złodzieja, zdrajcy, kłamcy etc. aż wreszcie zapytuje go, czy się z nią ożeni?

Tu zachodzi taka okoliczność. Mąż pierwszy Joanny, zapisał jej duży majątek pod warunkiem, że nie wyjdzie za mąż powtórnie. Chciwi krewniacy, właściwie pospolici bandyci choć nie wchodzący w kolizye z kodeksem kryminalnym, pp. Profilet, Cyprian, Rennequin, intrygują i spekulują na to, żeby Joanna za mąż poszła, bo w takim razie majątek spadłby na nich. W tem przeto jej zapytaniu, leżała chęć zbadania dostatecznie Gastona, czy ją kocha *bezinteresownie*?

Gaston który ją istotnie, po swojemu, czyli z zachowaniem „czarnych diabłów“, kocha szalenie, odmawia, tłómacząc to tem iż po zarzuceniu mu kradzieży, gotowaby pomyśleć iż dla tego się z nią ożenić pragnie, iżby resztę jej pięknych brylantów prze-

marnował. Joanna jednak inaczej to sobie tłómaczy, i wychodzi do swej sypialni. Gdy wróciła, ogień który własną podłożyła ręką, wdziera się już kłębami do pokoju.

Podpaliła umyślnie mszcząc się, i oskarżając go w tej jeszcze chwili o tchórzostwo i nikczemność, gdyby się ratować zechciał. Naturalnie w akcie IV, Joanna leży chora bez nadziei; przyjaciele zmartwieni, krewniacy ucieszeni, a gdy się bohaterka raz jeszcze ukazuje widzom, to jedynie dla tego, żeby na ręku zrozpaczonego Gastona wyrzekać o swym błędzie i skonać.

Niopodobna mówić tu o podrzędnej historyi Rolanda z Sarą, która była jego żoną w jednym dniu ślubu, o owych krewniakach i wiernym starym słudze niemieckiego pochodzenia. Dodatki mające służyć do rozświetlenia weselszego głównej akcyi, bawią widza niezawsze, a często męczą go dokumentnie.

Czy owa kradzież popełniona przez Gastona ma być *drugim* efektem, a pożar, potem zaś maligna i śmierć *trzecim* i *czwartym*? Tak się zdaje, tyle tu tych zużytych Deus ex machina.

Kradzieżą chciał autor widocznie zaostrzyć smak paryżan, który istotnie tak jak Stanisław August, potrzebują *assa fetida* ażeby co przełknąć. Lecz na naszych widzach, uczyniło to najwstrętniejsze wrażenie. To już nie są „czarne diabły“, to już nie smutne ale wytłomaczalne namiętności, ale poprostu przestępstwo policyjno-karne i jeżeli pani Joanna po takim czynie kocha jeszcze Gastona, to lepszego losu od tego jaki ją spotkał, wcale nie warta. Ale ona go kocha, — wszakże zapomniała bardzo prędko o kradzieży i tylko pamięta i mści się za niewierność o jaką go posądzą.

Biedneż wy kobiety francuzkie, jeżeli was tak malują wasi pisarze, jeżeli te wzory rzeczywiście z was biorą?

Morał jaki Joanna konając, w chwili *lucidum intervallum* wypowiada, morał ten, iż jest ukaraną za to, że nie kochała *uczciwie*, jest tylko dowodem niezręczności autora, której tenże zwykle strzegł się jak ognia. A ten Gaston!—niby szlachetny, tylko miotany i szerpany dawnemi nałogami, demoniczną namiętnością, jakże łatwo przystaje na obojętność Joanny we względzie kradzieży, jak się nawet nie stara wytłómaczyć i opowiedzieć fatalnej, dajmy na to, konieczności? Niedobitek ten owej „bohemii Murgerowskiej“ liczył się chyba zawsze do jej ciurów ostatniego kalibru.

Gdyby autor pominął był kradzież i zakończył na trzecim akcie, nie grzesząc tak haniebnie czwartym, bylibyśmy może wyrozumowali sobie ten czyn niezwykły mszczącej się kobiety i uznali kilka lepszych scen drugiego aktu, ale sztuka odegrana w nietykalnej całości i długości, wydała się nędzną a co gorsza wstrętną ramotą, za wystawienie której na naszej scenie, wcale Dyrekcyi nie myślimy dziękować. Co naszej publiczności po takim klubie uorganizowanych rozpustników, co po takiej rozszalałej miłości, co po cynizmie takiego Rolanda, zakochującego się w swojej żonie przez *pomyłkę*, gdyż na ulicy wziął ją za obcą, nieznaną sobie zupełnie kobietę?

Z podrzędnych figur najwydatniejszym jest Rennequin, wuj Joanny, obłudnik i egoista pod maską dobroduszności, czyhający na spadek swej siostrzenicy, śmieszny w tych objawach dosyć prawdziwego swego charakteru, ale w wielu szczegółach narysowany przesadnie, tak jak bezwarunkowo przesadnymi są dwaj jego towarzysze, czyste manekiny. Potrzebaby nam znowu powtórzyć nasze narzekanie na Dyrekcyę, która z pośród tylu dobrych sztuk obcych, wybiera jakby umyślnie najgorsze. Jestto już piąta sztuka w krótkim przeciągu czasu, która najzupełniej zawiodła oczekiwania publiczności, a czy będzie już na tem koniec? Czy nie stokroć milej byłoby nam i wszystkim bywającym w teatrze, przebaczyć słabe strony oryginalnemu utworowi, gdy tylko ten odznaczał się jakąbądź dodatnią swojską stroną? Co nas obchodzi ten świat dla wielu całkiem nieznany, gorączkowy i brzydki, nakreślony jaskrawo i przesadnie, a jeżeli wiernie to tem gorzej; — co nam po tych melodramatycznych efektach, zdyskredytowanych dziś już powszechnie? Ani korzyści duchowej, ani zadowolenia jakiegobądź tego choćby które, sprawia dobra budowa dramatu, dobry dyalog i w ogóle to, co nazywamy „dobrą robotą“. Dumas syn w najparadoksalniejszych swych sztukach, przecież wzbudzać musiał zawsze podziw, niezmiernie misternem wykonawstwem, wobec którego p. Sardou, w tej przedewszystkiem sztuce, lichym tylko jest partaczem. Cały akt pierwszy, nudnym jest i nużącym. Najrzód opowiada Joanna swoją przygodę nad brzegiem morza, potem to samo tylko innemi słowami Rennequin, potem dwaj kuzyni, a nareszcie służący. Litania jednej bajeczki, której wprowadzenia w sztukę, wstydziłby się daleko gorszy od pana Sardou, komedyopisarz. Lecz pocóż się ma wstydzić p. Sardou, skoro go grają na wszystkich scenach, i nawet na naszej, tak ubogiej w ustalony i obfity treścią repertoar? Prawdziwie cieszyć się trzeba z pogłoski, jakoby zawiązało się stowarzyszenie autorów dramatycznych francuzkich, z wyraźnym zamiarem niedrukowania swych utworow, iżby się nie rozchodziły w bezpłatnych przekładach. Tym tylko sposobem zaradzimy tej powodzi sztuk bez wyboru, a właściwie wybieranych dla tego, że je poprzedził rozgłos wielce podejrzany.

Gra artystów z wyjątkiem pana Holemana była w ogóle bardzo dobra. Pani Modrzejewska w roli Joanny dokazała cudów, chociaż, i cud nie ocali roli jej w akcie IV. W akcie trzecim podziwialiśmy jej energię obrażonego uczucia; tryskała z niej najrzetelniejsza prawda. Panu Leszczyńskiemu zawsze brak jednolitości w grze, a nadewszystko nie stara się o wyrobienie głosu, o zmodulowanie go i uprzystępnienie we wszelkich odcieniach uczuć. Przechodzi zawsze z cichego szeptu w potężny wybuch, ale skali średniej znać nie chce. Jestto artysta utalentowany, który, co ważniejsza, już na scenie warszawskiej zrobił widoczny postęp; trochę więc tylko dobrej woli a stanie sie artysta, któremu nic nie będzie można zarzucić. Szczególnie w „Czarnych diabłach“ odegrał znakomicie początkowa scenę pijaństwa w akcie drugim; w której doskonale i lekko, przechodził z jednego odcienia swego mętnego i zmiennego charakteru w drugi, z lekkości w groze, z uśmiechu w gniew. Lecz tak jemu jak i ulubionej artystce pani Modrzejewskiej, przypomnić pragniemy w imię wielkości sztuki, drobną ale dla wszystkich znawców, niezmiernie ważną okoliczność. Pojmujemy doskonale, że oklask bywa zazwyczaj jedyną nagrodą moralną aktora jako natychmiastowe uznanie, lecz wyrzeczenie się go czasem, pogardzenie nim nawet w niektórych wyjątkowych chwilach, liczy się już artyście za zasługę, służąc zarazem za przestrogę dla hałaśliwej publiczności. Trudno o przykrzejsze wrażenie jak gdy się widzi np. artystę konającego w chwili spadania zasłony, a w sekundę potem kłaniającego się we wdzięcznych ukłonach.

W tej też sekundzie, widz zostający pod najsilniejszem wrażeniem, wytrzeźwia się brutalnie, przypominając doskonale „że to wszystko tylko udanie i komedya“. Po scenie tak dramatycznej, jaką była ostatnia w akcie III, gdzie dopiero widzieliśmy konającą Joannę i ginącego w kłębach płomieni Gastona, zasłona spada, niecierpliwa część publiczności bije brawo, kurtyna się odsłania i oto widzimy tych dwoje bohaterów, których losem zasmuciliśmy się srodze, kłaniających się z gracyą i rozdających gratis najsłodsze uśmiechy. Ani taka znakomita artystka jaką jest p. Modrzejewska, ani tak dobry artysta jak p. Leszczyński, nie potrzebują się łakomić na oklask, który się im dostaje hojnie i zawsze; absenteizmem zaś swoim w tym razie, byliby nauczyli publiczność większego uszanowania dla sztuki. Oklaski i wywoływania, dają się zrozumieć tylko w czysto komicznych rolach lub po skończeniu przedstawienia, ale nigdy wśród rozwoju akcyi dramatycznej. Publiczność kilku teatrów poważnych, trzymała się i trzyma dotąd tego systemu; niechce ona bowiem własnowolnie psuć uroku, dla którego głównie do teatru przyszła.

Podnosimy też grę znakomitą w całem znaczeniu tego słowa p. Ostrowskiego (Rennequin), który i teraz typ stworzyć umiał i p. Chomińskiego (sługi niemca) który z trudnej swej roli—bo w kilku miejscach rzewnych potrzeba było być rzeczywiście wzruszonym mimo łamanej polszczyzny,—doskonale się wywiązał. Pan Grubiński w roli krowniaka miał kilka chwil wcale szczęśliwych, a w ogóle ciosy niektórych krytyków, padają na niego zbyt srogo.

Edward Lubowski.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

O wyższych zakładach naukowych i nowościach literackich.

Lwów w styczniu 1874 r.

Im bardziej rozpatrywać się przychodzi w objawach dzisiejszego naszego życia politycznego, i w ogóle wszelkiej działalności publicznej, tem potężniejsza opanowuje niechęć do pisania o tym przedmiocie. Biadać, narzekać i ganić już się sprzykrzyło, wreszcie więcej przynosi to dzisiaj szkody aniżeli korzyści, a mówić obojętnie — rzecz trudna i prawie niepodobna. I dlatego myśl rozgoryczona widokiem tego, co się dzieje, zwraca się ku rozsadnikom przyszłych pracowników, starając się dopatrzyć, azali ztamtąd nie tryśnie zbawczy i ożywczy strumień.

We Lwowie z jego okolicą, Dublanami, mamy trzy wyższe naukowe zakłady: uniwersytet, politechnikę i zakład rolniczy. W przeciągu kilku lat ostatnich uległy one bardzo ważnym i korzystnym zmianom, które podniosły ich znaczenie i otworzyły im drogę do świetnej przyszłości.

Uniwersytet krakowski miał po kilkakrotnie swoją świetną chwilę, lwowski nigdy jej jeszcze nie miał, on zdąża dopiero do niej. Przed kilku laty wszechnica nasza w najzupełniejszym była upadku: wiele katedr nie miało profesorów, a i ci co byli, z wyjątkiem zaledwie kilku, niczem ponad mierność się nie wznieśli, uczniowie nie chodzili na wykłady, a wielu z pomiędzy nich mieszkało na wsi u rodziców lub na guwernerce. Dopiero stan rzeczy się odmienił z wprowadzeniem języka polskiego do wykładów. Niemieccy profesorowie, z pomiędzy których tylko Henryk Zeissberg, historyk i Rulf, prawnik istotne posiadali zdolności, musieli opuścić wszechnicę, a miejsce ich zajęli utalentowani nasi uczeni. Od tego czasu widoczne odbywa się przeobrażenie w usposobieniu kształcącej się młodzieży. Objawia się ono wzrastającem zamiłowaniem nauki, poważniejszem zapatrywaniem się na swoje położenie i wzmaganiem się życia towarzyskiego.

Wszechnica nasza ma wszelkie zadatki na piękną przyszłość, ale wymaga do tego ważnych uzupełnień i zawiązania bliższych stosunków z całem społeczeństwem. Przedewszystkiem daje się uczuć wielka potrzeba ustanowienia wydziału lekarskiego. Już po kilka razy grono profesorskie objawiło w tym przedmiocie myśl swoją, — a na posiedzeniu sejmu z dnia 2 stycznia dziekan wydziału filozoficznego i zarazem poseł, profesor Euzebiusz Czerkawski, przedstawił odpowiedni wniosek. Z mowy, w której wykazywał konieczność ustanowienia wydziału lekarskiego, tak ze względu na dobro wszechnicy jak i na dobro kraju, przytoczę tu kilka dat statystycznych. Potrzeba lekarzy w Galicyi jest jeszcze bardzo wielka: w zachodniej Galicyi przypada 1 lekarz prawie na 10,000 osób. Nie mamy więc żadnych powodów obawiać się wzrostu liczby lekarzy. Młodzież ze wschodniej Galicyi, nie cała, udaje się na studya lekarskie do Krakowa, znaczna jej część wyjeżdża do Wiednia, gdzie w zeszłym roku na wydziale lekarskim było 114 słuchaczy z Galicyi. Jeżeliby z powodu ustanowienia nauki medycyny na wszechnicy we Lwowie, liczba uczniów tego przedmiotu w Krakowie zmniejszyła się, to zawsze pozostanie ona poważną w obec liczb, jakie widziemy na innych wszechnicach. Dzisiaj w Krakowie jest uczniów na wydziale medycznym 235, na wszechnicy zaś w Inspruku tylko 70. Co do kosztów, to uniwersytet lwowski kosztuje rocznie 136,000 złr., krakowski wraz z wydziałem lekarskim 168,000 złr., a zatem różnica wynosi tylko 30 kilka tysięcy.

Drugą ważną potrzebą naszej wszechnicy jest obudzenie żywszego interesu w publiczności do ruchu naukowego, jaki się odbywa w jej murach. Początek już zrobiony. Profesorowie chętnie biorą udział w publicznych odczytach. W tegorocznym kursie dla kobiet urządzonym przez Towarzystwo pedagogiczne, wykłada trzech zdolniejszych profesorów: Bronisław Radziszewski, profesor chemii, Tomasz Stanecki, profesor fizyki i Teofil Ciesielski, profeso

botaniki. Wykłady te wszakże odbywają się w gmachu ratuszowym, do sal zaś uniwersyteckich prawie nigdy nie zagląda publiczność, czemu wprawdzie przeszkadza i ta okoliczność, że sale są małe i niedogodne. Bądź co bądź, nie mamy jeszcze profesora, któryby swoją wymową i żywotnością wykładów zdołał opanować powszechną uwagę. I dlatego niezmiernie jest ważnem, kto zajmie katedrę literatury polskiej po Antonim Małeckim, który w tych dniach opuścił naszą wszechnicę. Obiegła pogłoska, że zamierzano uczynić Kraszewskiemu propozycyę zajęcia tej katedry. Biorąc wszystko na uwagę, byłby to istotnie najlepszy wybór. Samo imię Kraszewskiego ma wielki urok dla młodzieży, dla której jest on spadkobiercą wielkich tradycyj. Przytem znakomity nasz powieściopisarz dał się już poznać z kilku świetnych wykładów, któremi umiał porwać publiczność.

Młodzież akademicka ma własną czytelnię i towarzystwo bratniej pomocy. Czytelnia stanowi dla akademików pewne ognisko życia towarzyskiego i wynagradza, przynajmniej w jakiejś cząstce, brak kółek rodzinnych, w którychby młodzież zbliżała się do społeczeństwa, i w którychby mogła znaleźć kształcącą i przyjemną rozrywkę. W czytelni odbywają się dość często odczyty, rozprawy, a prawie co tydzień urządzany bywa wieczorek deklamacyjno-muzykalny. Towarzystwo bratniej pomocy, jak sama nazwa wskazuje, ma na celu udzielanie pożyczek i zapomóg potrzebującym. W roku 1872/3 dochód wynosił 2,333 złr. Zapomóg udzielono 88 osobom w ogólnej kwocie 955 złr. Suma wypożyczona wynosiła 7,201 złr. Ogólny dodatni stan majątku obrachowywano na 10,524 złr. W tym roku interesa obu towarzystw mają stać znacznie lepiej aniżeli w zeszłym. Jak powiedziałem już wyżej, widocznem jest wzmaganie się życia towarzyskiego pomiędzy młodzieżą.

Akademia techniczna, podniesiona w 1872 r. do znaczenia wyższych zakładów tego rodzaju w Austryi, dzieli się na trzy szkoły specyalne: 1) inżynieryi, 2) budownictwa i 3) chemiczno-techniczną. Prócz tego połączony jest z akademią kurs handlowy. Plan nauk rozłożony jest w szkole inżynieryi na pięć, w szkole budownictwa na cztery, a w szkole chemiczno-technicznej na trzy lata. Kolegium profesorskie składa się z 13 profesorów. Prócz tego jest 4 suplentów i 2 asystentów. W r. 1872/3 było studentów 291, najwięcej ma się rozumieć z Galicyi, bo 256, następnie z Bukowiny 12, z różnych prowincyj 10. Podług narodowości było Polaków 252, Rusinów 29. Wiek średni przy zapisie był $21^3/_4$ lat. Najwięcej zapisało się słuchaczy do szkoły inżynieryi (259), najmniej do szkoły chemiczno-technicznej (12). Dwudziestu siedmiu słuchaczy pobierało stypendya w ogólnej kwocie 3,986 złr., największe stypendyum wynosiło 262 złr., najmniejsze 50 złr. Gmach akademii, który ma kosztować 1,300,000 złr., zostanie ukończony do 1 października 1876 r., i niezawodnie najwspanialszym gmachem w całym Lwowie będzie. W ogóle akademia techniczna wysoko już stanęła w ciągu dwóch lat ostatnich, a podług wszelkiego prawdopodobieństwa, zdążać nie ustanie do zajęcia pierwszorzędnego miejsca pomiędzy europejskiemi instytucyami tego rodzaju.

Dublany, w których znajduje się szkoła wyższa gospodarstwa wiejskiego, leżą o milę na północ od Lwowa i obejmują 248 morgów ornego pola, 306 morgów łąk, 101 morgów lasu, 30 morgów pastwisk i 5 morgów stawów. Gospodarstwo rolne wzorowo jest prowadzone, a bydło znajdujące się w Dublanach należy do najbardziej znakomitych ras. Koszta utrzymania szkoły i gospodarstwa w Dublanach wynoszą rocznie 135,000 złr., z których sejm płaci tylko 100,000 złr., resztę kosztów ponosi galicyjskie (tylko na wschodnią Galicyę) Towarzystwo gospodarskie, pod którego opieką i dozorem znajduje się szkoła. W końcu zeszłego roku minister rolnictwa zaproponował wydziałowi krajowemu podnieść szkołę dublańską do znaczenia zakładu krajowego, liczbę w nim katedr pomnożyć i posady profesorów ustalić,—a za to obiecał wyjednać dość znaczną subwencyę od rządu. Wydział krajowy, przestraszony rozrostem ogromnym swego budżetu, dał odmówną odpowiedź. Minister rolnictwa zapewne mocno się zadziwił z takiego postąpienia naszej władzy autonomicznej. Komitet Towarzystwa gospodarskiego, gdy się dowiedział o tym wypadku, oburzył się ogromnie, że samochcąc odsuwamy od siebie tak korzystną dla kraju propozycyę i wniósł do sejmu petycyę o uznanie szkoły dublańskiej za zakład krajowy. Komisya petycyjna poleciła przychylnie załatwić tę petycyą, i należy wnosić, że sejm lepiej zrozumie pożytek kraju aniżeli jego wydział. W Dublanach jest uczniów 36, Galicyanie są w mniejszości. Profesorów i docentów jest 8. Następujące nauki są wykładane: 1) geografia (Lucyan Tatomir), 2) prawodawstwo (Till), 3) matematyka, 4) fizyka z meteorologią, 5) mechanika, 6) budownictwo wiejskie, 7) drenowanie i irygacya (prof. Rylski), 8) botanika, 9) ogrodnictwo i sadownictwo (Tyniecki), 10) chemia, 11) chemia rolnicza, 12) technologia chemiczna (Wawnikiewicz z Warszawy), 13 zoologia, 14) chów zwierząt domowych (Pańkowski), 15) ekonomia rolnicza, 16) rachunkowość gospodarska (dyrektor Strusiewicz), 17) rolnictwo i 18) leśnictwo (Bastyen). Szkoła jest obficie uposażona w fundacye stypendyjne.

Przechodzę do nowin literackich. Jakkolwiek niepodobna się dopatrzyć ożywienia w ruchu naszym księgarskim, to wszakże nie przestają pojawiać się nowe książki. Na pierwszem miejscu wypada wymienić Estetykę dra. Karola Lemckego w przekładzie Bronisława Zawadzkiego. Dzieło to przyjęto z powszechnem uznaniem, a i w waszem piśmie znakomity nasz nestor na polu piśmiennictwa ojczystego bardzo pochlebne o niem zdanie ogłosił. Wydanie tego dzieła przynosi pod każdym względem wielką zasługę księgarni panów Gubrynowicza i Schmidta; jest bardzo staranne i piękne. W drugim tomie w rozdziałach poświęconych architekturze, rzeźbie i malarstwu, jest 58 rycin, które wielce dopomagają do zrozumienia zasad estetycznych. Wydawca nie zapomniał i o polskiej sztuce. Przekład Zawadzkiego odznacza się pięknym językiem, a wszędzie gdzie należało przytaczać ustępy ze znakomitych poetów, bierze je ze wzorowych tłumaczeń Mickiewicza, Odyńca, Siemieńskiego, Kaszewskiego i innych im podobnych. Drugim wydawnictwem, które zasługuje również na uznanie i poparcie, są Dzieje powszechne Fr. Ks. Szlossera, wydane nakładem księgarni polskiej. W końcu grudnia wyszły 27 i 28 zeszyty obejmujące historyę i literaturę Arabów i historyę ludów północnych (Skandynawów, Anglotasów, Brytów) ze szczegółowym wykładem ich mytologii, obyczajów i literatury. Z pomiędzy innych książek nowych wymienić dramat Juliana Mörsa z Poradowa (pseudonim kobiety) pod tytułem: Przeor Paulinów, który już po czwarty raz ściąga liczną publiczność do teatru; Dwaj znakomici komuniści, Tomasz Morus i Tomasz Campanella, i ich systematy, Utopia i Państwo Słońca, studyum socyologiczne Bolesława Limanowskiego, w którem autor szczegółowo się zastanawia nad kwestyą własności i stosunku własności do rodziny; rozprawę historyczną H. Kanteckiego p. t.: Elżbieta trzecia żona Władysława Jagiełły, gdzie autor staje w obronie Elżbiety, a uderza na Długosza.

W świecie dziennikarskim zapowiedziano parę nowych wydawnictw i pewne zmiany w dawniejszych. We Lwowie ma wychodzić nowy dwutygodnik polityczno-literacki: *Wieść*, w Stanisławowie na miejscu zgasłego *Gońca* dwutygodnik naukowo-literacki: *Hasło*; w Wiedniu ma wydawać Bronisław Wołowski gazetę codzienną we francuzkim języku. Gazeta ta znalazła nadspodziewanie liczne poparcie w Galicyi, jak to dowodzi świeżo wyszłe sprawozdanie w tej sprawie. Bronisław Wołowski zamierza otworzyć w piśmie obszerny dział dla sprawozdań z naszego ruchu na polu sztuk pięknych, literatury i nauki. Z pism dawniejszych *Strzecha* podobno chyli się mocno do upadku, a *Szczutek* przeobraża się w nowe tygodnione pismo, które dział humorystyczny połączy z beletrystyką i obfitszemi aniżeli dotąd ilustracyami. *Szczutek* zasłużył się dobrze w ostatnich czasach, i śmiało spodziewać się można, że nowe pisemko uczciwie i dobrze redagowanem będzie.

B. L.

RUCH MUZYCZNY.

Fryderyk Szopen, przez F. Liszta, przekład Fel. Faleńskiego, Warszawa 1874 r. — *Stanisław Moniuszko*, przez Aleksandra Walickiego.

Rozpoczynając rok niniejszy imionami naszych najulubieńszych mistrzów Szopena i Moniuszki, spodziewam się nie być źle przyjętym przez łaskawe czytelniczki moje. Szczególniej co do Szopena, wyznaję że od dość dawna miałem zamiar kilka drobnych uwag dorzucić do tego co już o nim pisano—i chwytam skwapliwie pierwszą ku temu sposobność.

Wiadomo, że drogi nasz mistrz rozstał się z tym światem w r. 1849. Oprócz artykułów pomieszczonych zaraz po jego śmierci w gazetach współczesnych, oprócz pięknego wspomnienia skreślonego wymownem piórem przez Józefa Sikorskiego w grudniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej z 1849 r., żadna inna obszerniejszych rozmiarów praca nie pojawiła się wówczas, któraby ogółowi potrafiła niejako wytłumaczyć naturę ducha Szopenowskiego, przyczynę silnego i zupełnie odrębnego wrażenia, sprawionego przez jego utwory. Jakkolwiek dziełko Liszta o Szopenie pojawiło się dopiero w r. 1852, jednakże potrzeba rzeczywista podobnej krytycznej oceny dzieł Szopena, zapał jakim piszący był przejęty, samo nareszcie imię autora, który i dotąd zajmuje w sztuce królujące stanowisko—wszystkie te powody wpłynęły na tak szybką rozprzedaż, że broszura Liszta (której drugiego wydania podobno nie robiono) należy dziś prawie do rzadkości bibliograficznych.

Dając nam przekład niniejszej książki, dokonanej wytwornem piórem, p. Fel. Faleński bez zaprzeczenia oddał niemałą przysługę czytającej powszechności. Może jednak szanowny tłumacz nie zwrócił uwagi na tę okoliczność, że od czasu pierwszego wydania dziełka już upłynęło lat przeszło dwadzieścia, że przez ten czas, lubo w rzadkich odstępach, pojawiały się o Szopenie niektóre prace, i że byłoby z istotną dla ogółu korzyścią, gdyby książka Liszta przed nowem swem wydaniem w polskim przekładzie, mogła być krytycznie przejrzaną, dla przekonania się, czy nie dadzą się umieścić choćby w odsyłaczach, małe uwagi lub sprostowania. Z powodu zaniedbania tej koniecznej ostrożności, przekład p. Faleńskiego daje nam powtórnie niektóre szczegóły, błędnie przez Liszta skreślone, na co jednakże, już i ja zwracałem uwagę, lubo pobieżnie, w odczycie zeszłorocznym o Szopenie. Dziś szczegółowiej o tem chcę pomówić; i jakkolwiek nie wszystkie moje sprostowania równie będą ważne, sądzę, że jako tyczące się tyle drogiego nam mistrza, nikomu obojętnemi być nie powinny.

Przedewszystkiem zasługuje na wzmiankę jeden szczegół, który wszyscy późniejsi od Liszta pisarze (w ich liczbie i ja niestety!) za nim powtórzyli, a mianowicie że książe Antoni Radziwiłł swoim kosztem dał wykształcenie młodemu Szopenowi. Liszt fakt ten przytacza z wielką pewnością w jego wiarogodność, tak dalece że nawet dyspozytorem tych funduszów robi niejakiego p. Antoniego Kożuchowskiego (str. 154). Szczegół ten nicby nie miał przykrego dla szanownej rodziny mistrza, gdyby był prawdziwym. Na szczęście jednak, pozycya materyalna rodziców Fryderyka, dozwalała im najzupełniej na przyzwoite wychowanie dzieci—byłoby więc może mniej stosownem, gdyby w takich się znajdując warunkach, przyjmowali od księcia Radziwiłła podobne przysługi. Jakoż na zasadzie jak najdokładniejszych i najsumienniejszych informacyj, zaręczyć się czuję w możności, że fakt przytoczony przez Liszta zupełnie jest fałszywy. Młody Szopen istotnie w czasie jednej ze swych wycieczek za granicę, poznał księcia na wsi w Poznańskiem i dedykował mu swoje Trio (op 8); książe zaś tyle cenił talent jego i osobę, że go za bytnością swą w Warszawie w r. 1829 osobiście odwiedził, co ze strony tak wysoce położonego męża i znakomitego artysty, niemałym było faworem, okazanym dziewiętnastoletniemu chłopcu.

Potrzebują również sprostowania niektóre szczegóły, tyczące się ostatnich chwil Szopena. Że dusza

to była czysta i anielska, że śmierć jego była pełna wzniosłej prostoty, to jest prawdą — lecz Liszt do tych szczegółów dodał inne, wzruszające bardzo, nawet piękniejsze od rzeczywistości — ale sądzimy że w nowym przekładzie lepiej było ich powtórzenia uniknąć lub je sprostować. Wiadomo że p. Ludwika Jędrzejewiczowa siostra rodzona, spędziła czas długi przy łożu umierającego; ponieważ wszyscy co go bliżej znali, chcieli go pożegnać, prawdą jest że p. Delfina Potocka odwiedziła również Szopena, i że śpiewała na jego prożby. Ale poetycznie opisana scena omdlenia w jakie wpadł Szopen w czasie jej śpiewu, trwogi przytomnych o jego życie etc. (str. 196), nie miała miejsca. Istotnie Szopen prosił hrabiny aby zaśpiewała, bo pragnął by siostra jego jej cudny talent poznała — ale śpiew nie wywołał tak strasznych następstw. Podobnież nie jest prawdziwym ten szczegół, aby Szopen umarł całując Gutmana rękę. Jeżeli odważam się te drobne okoliczności prostować, nie sądzę abym przez to niszczył urok, jaki sympatycznie postać naszego wieszcza ozłaca, ale pocóż jeszcze poetyzować, tam gdzie i sama prawda tyle była piękną?

Na str. 84 przekładu p. Faleńskiego rok urodzenia Szopena (1810) dokładnie jest podany podług Liszta. Nie zaszkodziłoby jednakże, gdyby w przypisku zamieszczono i dzień 1 marca, który, według świadectwa samejże rodziny Szopena, jest dniem najdokładniejszym. Tembardziej zdaje się to koniecznem w obec wątpliwości, w jakie pod tym względem wpadają niektórzy pisarze, np. Fétis. Nawet autor niedawno wydanego obszerniejszego życiorysu Szopena, datę urodzenia podaje zupełnie mylnie, bo 2 marca 1809 r., i to będąc w sprzeczności sam z sobą, bo przytacza wkrótce później znany z dzieła Liszta fakt o darowaniu młodziutkiemu Szopenowi w 1820 r. przez p. Catalani śpiewaczkę zegarka, z napisem: „á Frédéric Chopin, âgé de dix ans.“

Tyle co do faktów. Teraz jeszcze parę uwag o samem tłumaczeniu. Jest ono, jak powiedzieliśmy, dokonane pięknym językiem, a zasługa to nie mała, ze względu na styl książki Liszta, cokolwiek napuszony i przesadny, pełen długich omówień, kunsztownie przeprowadzonych porównań, nareszcie wielu wyrażeń charakterystycznych, prawie niepodobnych do przyswojenia innemu językowi. Ażeby dać próbkę szczęśliwego pokonania trudności językowych, oraz poetycznego stylu przekładu pana Faleńskiego, pozwalam sobie przytoczyć dość długi ustęp, w którym stopniowe powracanie sił po chorobie, przyrównywa Liszt do świtu pięknego słonecznego dnia: (obacz Fryderyk Szopen str. 117).

„Tak więc szczęście znowu wynagrodzić przyszło śmiertelne obawy z tem samem stopniowaniem zwycięzkiem, z jakiem pogodny dzionek wchodzi po spędzeniu burzliwej, pełnej trwogi nocy. Wiszące nad głową ciemności, tak się jeszcze ciężkiemi wydają, że zrazu raczej ostatniej i silniejszej nad inne wyczekujesz trzaskawicy, aliści znagła bladawe dostrzegasz światełko, niby chmury tam dla ciebie na chwilę w widnokręgu rozdarto — i oto również blada wstępuje ci w duszę nadzieja. Wolniej oddychasz, jak ci, co w czarnej zabłąkani pieczarze, w dali gdzieś jasność ujrzą, choćby nawet złudną! Ale światełko to zorzą jest—oto już i powiewy rzeźwiące, wysłanniki poranku. Wonny dreszcz przebiega powietrze niby umacniające nadziei tchnienie. Ptak nad inne ranniejszy budzi się i pieśni dźwięczną poczyna. Tymczasem ciemności ze światłami walczą—życie ze śmiercią, ale już widzisz na pewno, że tu koniecznie noc ulegnie. Uspokojeniem pierś ci nabiera. Ku górze patrząc, ów ołowiany z chmur ciężar mniej tłoczącym ci się wydaje, i także nietyle bezwładny (m), a w jedno miejsce wbity (m).

Zwolna przybywa coraz więcej szarawej światłości, stopniowo wszerz się ona w widnokręgu niby rozpadlina wydłuża, ażci i wzbiera na podobieństwo jeziora tamowanego w koło silnie odkreślonemi brzegi. Ale już i brzegi te snać nie dość strome były—powoli światło je wyszczerbia, przenosi sobą, i wylewa się tu i ówdzie zwycięzko, coraz szersze zagarniając przestrzenie.

Od tej chwili, przedmioty wszelkie zdają się niby z nicości wstawać. Zrazu różana mgła je w całości powleka, ale w miarę jak wzrasta światła na niebie potęga, zwróconą ku niej stroną, coraz jaśniej błyszczą, podczas gdy po za niemi cień się coraz wyraźniejszy tworzy.

Ze wschodu coraz szersze dnia zwycięztwo. Mgły się zewsząd odwijają, niby ściągane na sznurach zasłony. Wszystko na nowo żyć zaczyna, cieszyć się, czuć, odbierać wrażenia — zewsząd radości odgłosy, zewsząd dźwięki mieszają się z sobą, krzyżują, potrącają o siebie, lub zlewają w jedno. Ruch bezładność przemógłszy, wszędzie krąży, rozbiega się, wszystko sobą przenika. Fale wód wzbierać się zdają i oddychać pośpiesznie na podobieństwo piersi przejętej miłością. Rosa wygląda jak łzy rozkoszy, które niebawem słońce w iskrzące dyamenty zmieni. A tu tymczasem ów olbrzymi na wschodzie światłości wachlarz, coraz szerzej się roztwiera. Co tam za barw bogactwo, co za zbytek od złota i najdroższych kamieni! W samym środku rubin ogromny coraz żywiej płonie....

Nareszcie ztamtąd słońce się wynurza. Zwolna to czyni, ale raz już w całości zwycięzkie ukazawszy oblicze, natychmiast niebo w posiadanie bierze, ziemię coraz dalej pozostawiając za sobą“....

W tym jednak tak starannym przekładzie są usterki które wskazać winniśmy. Na str. 44, w wierszu 5-tym, wyraz *wątpliwe* (korzyści), koniecznie wyrazem *niewątpliwe* zastąpionym być musi, o czem łatwo się przekonać zajrzawszy do dziełka Liszta, gdzie na str, 76 w temże miejscu, znajduje się wyraz *indubitables*. Być może zresztą, że to tylko omyłka druku—ważna jednak i powinnaby przy końcu dziełka w *erracie* być sprostowana, podobnie jak i dwukrotnie użyty wyraz *posłów* zamiast *poetów*. Ale na tejże samej str. 44 szczegół przytoczony przez Liszta, że grywał wiele u siebie (il jouait de longues heures chez lui) na fortepianie, przerobiony jest na *usilne po całych nocach granie*, co już jest niepotrzebnym dodatkiem czy domysłem tłómacza. Także niopochwalamy tego, że na str. 37 w wierszu 6 i 7, autor dodał z własnego natchnienia wzmiankę o jednym ustępie z Dziadów Miekiewicza, której zupełnie w oryginale niema. Natomiast skrócenie długiego przypisku (Liszt str. 126—8, Faleński 82—4), wydaje mi się racyonalnem, więcej on bowiem dla cudzoziemców języka naszego nieznających, niźli dla nas jest ciekawy.

Dwa najważniejsze zarzuty stosują się do str. 23 i 38. Ustęp na str. 23 zawiera zakończenie obrazu, w którym Liszt opisuje charakter Poloneza Fis moll (op. 44). Zakończenie to w oryginale tak brzmi.... „cette improvisation se termine sans autre conclusion qu'un morne frémissement, qui laisse l'âme sous l'empire d'une impression unique et dominante“. Przekład pana F.... „improwizacya ta dziwna poprostu kończy się tylko pewnym rodzajem dreszczu, *który ci się udziela, jak coś co ci się słusznie należało*“. W tym przekładzie razi nietylko niedokładność, ale już sama treść końcowego frazesu, który nawet oryginalnie pomyślany, byłby nadzwyczaj rażącym i nawet zagadkowo niezrozumiałym. Sądzę, że to samo miejsce, przytoczone w moim życiorysie Szopena w Tyg. Illustrowanym, dość dokładnie oddaje myśl tekstu francuzkiego:.. „Improwizacya ta kończy się... ponurem drganiem, pozostawiającem duszę pod wpływem głównego, pierwotnego wrażenia“.

Na str. 66—8 swego dzieła opisuję Liszt, że pewnego dnia po obiedzie, gdy tylko w salonie Chopina, był prócz niego Liszt i pewna dama (której nazwisko niewymienione), ta osoba pełna uczucia i wykształcenia, zwyciężona czarem muzyki naszego mistrza, odważyła się go zapytać, dla czego ta muzyka tak się do serca wciska? dla czego w najweselszych swych ustępach taka jakaś rzewna i tęskna? słowem, pragnęła śmiałem okiem profana przeniknąć aż do wnętrza zagadkowej treści jego geniuszu, żądała od niego, by jej odsłonił całego siebie. Szopen, który się nigdy wywnętrzać nie lubił, był tego dnia w wyjątkowem usposobieniu, i czując się w obec dwóch duchów istotnie bratnich, chciał się z niemi jeszcze bardziej swem wyznaniem zespolić. Otóż rzekł wtenczas, że zdaniem jego, tajemniczy klucz jego ducha dać tylko może wyraz Żal“ niepodobny do przetłómaczenia. Kilkakrotnie wyraz ten powtarzał, jakby pragnąć nasycić się, przesiąknąć jego brzmieniem.

W istocie, przeczytawszy ten ustęp ciekawy, w którym Lisztowi udało się podchwycić chwilę tak rzadką spowiedzi genialnego człowieka, podziwiać musimy zarazem tę trafność poczucia, jakie Szopen miał o sobie, i trafne wynalezienie słowa, które będąc czystym językowym pierwiastkiem, najrozmaitsze w sobie mieści odcienia, i bogatą swą treścią rozliczne otwiera widnokręgi. Uważam więc za nader wielki błąd za strony tłómacza, że natomiast użył wyrazu: „żałość“, który będąc tylko jedną z form pochodnych pierwiastku, „żal“ ani tak wiele treści nie posiada, ani też przez Szopena jako klucz do jego duchownej skarbnicy zastosowanym być nie mógł.

Na tem ograniczylibyśmy nasze uwagi i o przekładzie pana Faleńskiego o Szopenie, gdyby jeszcze nie pozostawała mi do załatwienia jedna drobna kwestya, dotycząca własnego sumienia. Ponieważ już sprostowałem jeden szczegół z mego życiorysu Szopena (o X. Radziwille), niechże szanowne czytelniczki i czytelnicy pozwolą mi, przy niniejszej sposobności, sprostować i drugi. W Nr. 108 Tyg. Illustrowanego, na str. 43, w szpalcie 3-ej, przytoczyłem ustęp z „Histoire de ma vie“ pani G. Sand, w którym autorka opisuje że jedno z Preludyów Szopena powstało w czasie długo trwającego, ulewnego deszczu. Otóż winienem sprostować, że ustęp ten nie stosuje się do preludym 4°E moll, jak napisałem, ale do preludyum szóstego (H moll).

Na teraz, nie mam już nic do powiedzenia w tym przedmiocie. Wszakże zajmując się nim ciągle, mam nadzieję, że jeszcze kiedyś jakie słówko o nim powiedzieć będę miał sposobność.

(Dokończenie nastąpi).

TRZY DNI W PUSTYNI

(Ułamek z wędrówek po Azyi).

(Dalszy ciąg).

W tem zabrzmiał głos donośny, który wołał: stało się! nadeszła chwila gdy nieziemskie promienie chwały otaczać będą wiekuistą aureolą drogie serce memu koczowiska choryńskich i selengińskich Buryatów, gdy spocznie ich blask na taborach miłych mi Buryatów z nad Agi i Duonu.... Szireti padł na twarz, a głos z nieba mówił wciąż.... Niedość, iż te szczepy godnemi się stały przytknąć swe usta do szczytnej czary *raszian'u* [1]), do czary mej nauki, ale pragnę by uczestnikami mej nauki były najdalsze nawet zakątki państwa Orosów; niech całe to olbrzymie *kchurun* (państwo) wyznaje jednę tylko wiarę, wiarę prawdziwą, wiarę Buddy Szagiamuni'ego....

Przy tych wyrazach niewidzialnego głosu zaczęło wyrastać tuż przy lamie będącym w zachwyceniu błękitne drzewo, które u pnia rozdzieliło się na dwa konary i w miarę wzrostu okrywało się liśćmi i owocami. Jedna minuta była wystarczającą by drzewo doszło do olbrzymich rozmiarów. Szirety zdumiony podniósł wzrok ku obłokom i ujrzał w przestworzu.... o radości nieopisana!.. samego Budda-Szagiamuni'ego, z którego postaci spływały na owoce niezwykłego drzewa promienie w liczbie tej, jak widzisz na obrazie....

Widzenie znikło. Szirety opowiedział je całej lamaseryi i zapamiętawszy dobrze szczegóły widziane polecił zrobić obraz, który obecnie masz w ręku.... Wytłómaczę ci teraz niektóre podrzędne akcessorya. Błękitny kolor drzewa oznacza bezwątpienia ów epitet jaki Czyngis-Chan dał Mongołom. On ich nazywał *Kuke* (lazurowej niebieskiej barwy). Podział na dwa konary mongolskiego pnia odpowiada podziałom na dwa szczepy mongolskie i buryacki; liść bujniejszy, owoc wspanialszy ozdabiają konary, oznaczające szczepy bardziej patryarchalnego życia, szczepy gdzie przechowuje się nieskazitelnie cześć Buddy i naodwrót owoc zwiędły to krainy u stoków Sajanu, w przedbajkalskiej okolicy, gdzie chociaż są skarbnice wiekuistej wiedzy—dassany—ale ich podstawę zła moc wstrząsnęła, osmalone zaś i suche gałęzie to nasi bracia, co zerwali z lamaizmem i zatracają w sobie pierwiastki plemiennej odrębności.... Szireti nie poprzestał na opowiedzeniu jedynie lamom rzeczy widzianych, chciał on uczynić zadość woli

---

[1]) *Raszian* — napój nieśmiertelności u lamistów. Jako przenośnia oznacza ów wyraz naukę Buddy.

Buddy, udał się więc do miejscowych urzędów policyjnych... bo i dla czegoż nie ogłosić światu wielkiej łaski Szagiamuni'ego?... [1])

Chciałże więc rzeczywiście czcigodny lama nawracać kraj cały orosów?—pytałem mego przewodnika.

— On spełniał tylko wolę Buddy, nic nad to. Wiara nasza objęła znaczna część globu, nie byłoby przeto rzeczą dziwną, gdyby i orosów ziemia, jak jak długa i szeroka uderzyła czołem przed majestatem Buddy i kręciła nasze modlitewne koła, jak dotąd składa pokłony przed swemi bogi.... U was oprócz czci zewnętrznej niema nic takiego, co mienić by się mogło moralnością kształcącą ducha, podnoszącą jednostki i społeczeństwa ze stanu dzikości do godności ludzkiej...

— Nie wiecie jakiej wiary jestem, moja cześć obca wam, również jak i jej przepisy.... nie mówmy więc o tem; gdy zaś chcecie uzupełnić gościnność, którą mnie otaczacie, zamawiam waszą uprzejmość na później, teraz jest za późno, znużeniśmy oba; jutro zobaczyć pragnę wasze koła modlitewne.

Podałem dłoń młodemu lamiście i wyszliśmy ze świątyni, które zamknął odźwierny, czekający już oddawna na koniec naszego posiedzenia. Na dziedzińcu było dość pusto; bardzo rzadko przesunęła się postać mnicha buddaisty, przebiegło służebne pacholę lub leniwym krokiem wszedł pątnik buryacki, pytając o obrazy bóstw, posążki lub utensylia potrzebne do ubrania ołtarzyka w najuboższej nawet jurcie. Kupczenie świętościami tworzy niemałe źródło dochodu dla lamów. Zabobonni koczownicy chętnie płacą wszelką kwotę, bodaj największą, za wizerunki świętych i bogów, wizerunki wyrobu chińskiego lub mongolskiego, potwornej często postaci i dziwnie nędzne pod względem artystycznym. Rozmaite taśmy, znaki, posiadające cudowną moc rozwijania pamięci, ochraniania od złej doli, sprowadzające obfitość, pomyślność w stadach, szczęście na łowach, spokój w gronie rodzinnem, suto opłacają się niemiłosiernie wyzyskującym ofiarnikom.

Pozostałą część dnia spędziłem u starego Sambara, który prosił by u niego obrać swą główną kwaterą.

Staruszek widocznie rad był, żeśmy się zgodzili z radością na zaprosiny robione z całą serdeczną prostotą.

— Nie będę was podejmował rzeczami niezwykłemi, owszem więcej słowem niż jadłem i napojem....

Chociaż tak mówił weteran wśród sług Buddy wszakże nawpół nagie pacholę służebne wciąż biegało, wnosząc i wynosząc rozmaite naczynia z jadłem przyrządzonem na sposób buryacki, i sędziwy gospodarz *gyr*'u ciągle się dopytywał o konie nasze, jak ulokowane, czy je kto strzeże, czy nakarmione.

Mój towarzysz prosił raz pacholęcia o wodę—bo co do mnie, to ani kropli surowej wody od chwili wyjazdu z Europy nie piłem, co uważam za rzecz nader hygieniczną — zamiast jednak wody przyniesiono mleko. N. okazał pewnego rodzaju zdziwienie.

— Niech to was nie dziwi.... woda wszędzie znaleść się może—rzekł lama—strumienie bogi rzuciły wszędzie. W każdej dolinie możesz zaczerpnąć z ruczaju.... jeżeli gość prosi gospodarza to zapewne o rzecz, której na każdym kroku nie spotyka się.... Pijesz mleko, bo wodą gościa nie zwykliśmy podejmować.

Mówił to Sambor z taką prostotą, rzecz można z dziecięcą naiwnością, że o przesadę żadną miarą nie można go było posądzać. Z podobnemi zresztą objawami gościnności — w każdej jurcie dauryjskich dolin spotkać się można. Uczta, przyrządzona dla nas umyślnie przez Sambara, składała się z gotowanej bulby i pieczonego barana. Ostatnie danie zawsze nieodłącznym atrybutem jest każdej solenniejszej biesiady buryatów, bulba zaś, jak nam ten sam Sambar wytłómaczył, była dla niego przypomnieniem Tybetu, gdzie roślina w rodzaju bulby—znane pod mianem *nej*—w powszechnem i wyłącznem jest użyciu u tubylców dolin tybeckich.

— Przyjechaliście jedynie dla zwiedzenia lamaseryi, być w niej i nie widzieć potrawy z *nej*'u, którą się żywią wszyscy lamowie w Tybecie, byłoby rzeczą nie do przebaczenia, kazałem przeto zgotować dla was *nej*'u... Tu on nie w użyciu, ja nim się żywię, co mi przypomina najświetniejsze chwile mego życia, bo pobyt w Hlassie. Trzymam się w ten sposób ściśle wzoru, jakim dla nas we wszystkiem powinien być Tybet... Nie sądź stąd by *nej* tworzył przedniejszy przysmak, wcale nie; ale jest w powszechnem użyciu. Przyzwyczaiłem się doń, i tu w braku *nej*'u uprawiam nieco bulbę... Właściwie nie ja uprawiam, lecz w blizkiej osadzie Orosów uprawiają dla mnie... Niewiele mam owej jarzyny, ale wystarcza mi na większe uroczystości i przyjęcie gościa, który już dziś rzadki pod moim dachem, gdyż Sambar zestarzał się i mało kto doń zagląda.

Kiedy podano baranią głowę, pospolicie grającą niemałą rolę podczas biesiady buryackiej, sędziwy gospodarz zrobił na niej kilka nacięć i ująwszy kawał drewna, który tu zastępywał półmisek, podawał nam kolejno; braliśmy kawałeczki poważnie, w milczeniu, widząc, że to rozdawanie jest dowodem wysokiej uprzejmości, a zarazem jednym z obyczajów koczowników. Gdy kogo chcą uczcić, w ten sposób go podejmują.

O kilka kilometrów za lamaseryą jest wiosenka zamieszkała przez syberyjskich osadników i niewielka liczba rodzin buryatów ochrzczonych—tak zwanych *Karym'ów*.

Osada jest stolicą zarządu taborów rozsianych po stepie. Kościół prawosławny i szkoła parafialna dla dzieci buryackich mieszczą się w osadzie bardzo ubogiej, z walącemi się płoty, z nader smutnej postaci chatami. Wszystko w wioseczce nosiło znamię zaniedbania i ubóstwa. Domy zarządu i kościołek prawosławny, nowy, strzelający ku obłokom wysmukłą wieżyczką o dość zgrabnej kopule, tudzież obszerne domowstwo szkoły, wyróżniały się od gromady lepianek, rozsianych na szerokim wygonie. Ubiór i postawa mieszkańców wioseczki rownież smutnie wyglądały. Ślady nędzy i zaniedbania spotykałeś na każdym kroku. Patrząc na te owoce wrzekomej kultury zatęskniłem do pustyni...

— Dla czego u was taka bieda? wszystko wieje cmentarnem pustkowiem, bardziej jak na pustyni; pytałem spotkanego osadnika.

— Tu mieszkają *Karym* — nawróceni buryaci— odrzekł zapytany, czyniąc giest pogardliwy; a gdzie oni są, to zkądże ma być inaczej?..

Opowiadający nie miał tu wszakże zupełnej słuszności, bo w okolicach przedbajkalskich, gdzie nawróceni buryaci są dość liczni, zamożność i ład gospodarski u nich wielki, chociaż osady mają pozór wstrętny i każda taka kolonia rażąco się różni od porządnie zabudowanych i wcale pokaźnie wyglądających osad, które długim łańcuchem, niekiedy dość okazałych nawet domów, ciągną się wzdłuż syberyjskiego gościńca. Bieda i zaniedbanie wioseczki mieszczącej w sobie zarząd buryacki, miały gdzieindziej swe źródło. Garstka ludzi rzucona wśród obcych dla siebie warunków pustyni, na glebie nieurodzajnej, zdala od świata i dróg kommunikacyjnych, zwróciła się ku pasterstwu, zabaczając o roli, podobnie jak neofici stepu, którzy zrywając pozornie z wiarą ojców, nie zerwali z tradycyą i zachowali większą część obyczaju swej przeszłości. Wioska tedy ma pozór pasterski, koczowniczy. Domy niby szałasy pasterskie, rozsiane po stepie, bez ogrodzenia, bez zabudowań gospodarskich, przypominają raczej jurty mongolskiego taboru, niż siedzibę gminy rolniczej. Wszystko to jednak nie raziło zbytecznie naszego oka, które już od Worskli i Donu na południu, i od górnej Desny na północy — wschodnich płaszczyzn Europy nie spotykało owych cudnych wiosek, tonących wśród zieloności, umajonych kwieciem, wesoło patrzących białemi ściany, co wszystko jest znamieniem siedzib ludów europejskich. Bo i bogate osady nad Wołgą i syberyjskie wsie, słynne niekiedy z zamożności i ładu, to raczej sągi drzewa, olbrzymie stosy bali, a nie uśmiechnięte gniazda człowieka, któreby dłoń umiejętna otoczyła sadem, rozesłała im kobierzec zieloności...

Osada, sąsiadująca z lamaseryą, stanęła dla celów administracyjnych. Cerkiew wioseczki miała przypominać ludom kultu pogańskiego o istnieniu Boga chrześciańskiego, a jej duchowny, noszący miano „misyonarza“ miał unicestwiać lub łagodzić przynajmniej wpływ lamaseryi i tłumnych gromad kapłanów Buddy.

Zadaniem szkoły najmniej było oddziaływać w sposób kształcący na koczownicze tabory. Zwiedzając ów cywilizacyjny rezerwoar, widziałem posadę misyonarza wakującą, a w szkole—młodego aspiranta do ofiarniczej godności w lamaseryi wykładającego chrześcijańskiej dziatwie zasady wiary prawosławnej.

Młody kleryk buddajski przyjął nas uprzejmie.— Pokazał szkołę, gdzie rzeczywiście ze cztery dziesiątki dzieci płci obojga uczyło się po rossyjsku i buryacku i wreszcie odemknął biblioteczkę.

— Tu zobaczycie rzecz cenną, bardzo cenną, mówił bakałarz mongolski; są to księgi, któremi rzadko gdzie pochwalić się mogą. Niejeden księgozbiór pozazdrościłby nam tak rzadkiego skarbu....

Były to prace znanego oryentalisty naszego, Józefa Kowalewskiego, niegdyś zwiedzającego te odległe okolice i studiującego mongolizm i chińszczyznę. Zdziwiły mnie niemało wyrazy czci dla nauki Kowalewskiego w ustach bakałarza nieznanej szkółki na kończynach ziemi. Z niedługiej rozmowy, jaką z nim prowadziłem, przekonałem się, że był to młody człowiek pewnego wykształcenia, wszakże tylko w granicach mongolizmu. Wszystko co się tyczyło języka jego ojców—ich wiary, wszystko co było podaniem lub dziejami buryatów—nie było mu obecne. Posiadał języki mongolski i tybecki, w których się kształcił w lamaseryi i obecnie uczył się po mandżursku.

Patrząc na rzeczywisty spokój, jakiego używał ten człowiek, na dobrobyt, jaki go staczał, pomimowoli przypomniałem sobie uposażenia szkółek wiejskich w okolicach podkarpackich, w kraju gdzie wzdychają do lepszej przyszłości, a dążą do niej morząc głodem swych wiejskich nauczycieli... Porównywałem—i, niestety, dzicy owi wydali się mi ludźmi bardziej ożywionymi duchem obywatelskim, więcej na swem miejscu od naszych podkarpackich braci. Nie poraz pierwszy spotykałem wśród buryackich koczowisk gorliwe kształcenie swych synów, nie poraz pierwszy pod dymnemi jurty na dzikim stepie widziałem nagie pacholęta męczące się nad mongolskiemi elementarzami.—Wszystko to właściwie małą bardzo korzyść przynosi owym rzeszom błądzącym po pustyni; w każdym razie jednak usiłowania rozszerzenia bodaj piśmienności, jeżeli nie rzeczywistej oświaty wśród swych taborów, często hojne łożenie na utrzymanie szkoły elementarnej są znamionami zbyt chlubnemi dla autochtonów Syberyi by o nich można było zamilczeć.

Po kilkogodzinnej rozmowie z młodym lamistą dosiadłem wierzchowca i wśród ścian lamaseryi u poczciwego Sambara znowu znalazłem gościnne przyjęcie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

[1]) Akt widzenia, jakie miał lama, spisany i urzędowemi podpisy stwierdzony, widziałem w zbiorze wielebnego Konstantego S. misyonarza prawosławnego w okolicach Irkucka.

Do **dzisiejszego numeru „Bluszczu“** dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: **Middlemarch**, przez *Jerzego Eliot*; oraz **Kamienna Wola**.

TREŚĆ. **Kobieta jako towarzyszka życia mężczyzny.** — **Zgasły promień**, (poezya), przez Pomasza Zawadyńskiego. — **Zarnica**, (dalszy ciąg), powieść bulgarska spółczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Korespondencya zagraniczną**, przez B. L. — **Ruch muzyczny**, przez Jana Kleczyńskiego. — **Trzy dni w pustyni** (dalszy ciąg).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою 31 Декабря (12 Января) 1873/4 г.